№ 21. Warszawa, dnia 25 (13) Maja 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZNANA STRZAŁKA.

Już to nie ulega wątpliwości, że stańczycy krakowscy nie wytworzyli w swem gronie wzoru „gentlemana." Tych panów, aż do przezroczystości wydętych pychą rodową, usiłujących grać role mężów stanu, karzących "ulicę" za wybryki i brak wychowania, można nieraz spotkać między fabrykantami brutalnych anonimów dziennikarskich, między rozlepiaczami potwarczych afiszów na kolumnach prasy, miedzy chemikami paszkwilu. Niema tak złej, tak poślednej broni, którąby oni wzgardzili w walce. Denuncyacya „patryotyczna" i „szlachetna," grubiaństwo i krzywdzące posądzenia, obelga i kłamstwo— wszystkie oręże znaleźć można w tych herbowych zbrojach. Chociaż p. St. Tarnowski odebrał wykształcenie i jako profesor zajmuje stanowisko, oczyszczające zwykle myśli i uczucia z owych mętów, nie stanowi bynajmniej wyjątku w wyborze środków polemicznych. Może tylko struże je gładziej, używa zgrabniej i wprawniej, ale w istocie nie jest wybredniejszym od najprostszego gwardzisty tej roty, której przywodzi.

Na wiecu katolickim w Wiedniu pan hrabia, pochwaliwszy swych rodaków za wiernopoddańczość wobec tronu papieskiego, zwrócił w przelocie swoją dostojną i swoich słuchaczów uwagę na nowotwory prawomyślnego ducha narodu, które usiłują go zwyrodnić i zabić. Mowy jego, wydrukowanej w *Czasie*, nie znamy, znamy tylko ustęp z niej przytoczony przez *Dziennik warszawskij*, z którego w przekładzie powtórzymy obchodzące nas twierdzenia wraz z dopiskiem tej gazety, mającym wagę pożądanego świadectwa. Więc według p. Tarnowskiego „w kołach ukształconych śród młodzieży rozpościera się zaślepienie pod maską postępu lub nauki. Dawno porzucona zasada, przesąd, że katolicyzm jest równoznaczny i równomierny z obskurantyzmem i absolutyzmem, kwitnie u nas, jak u wszystkich ludzi półoświeconych (!) lub z góry uprzedzonych. Nieposłuszeństwo jest właściwem naszej naturze— więc objawiamy to nieposłuszeństwo, chociaż skutkiem pewnych osobliwości położenia narodu polskiego bywa to znacznie utrudnionem. Istnieją wszakże państwa i systemy rządowe, pod którymi wrogie kościołowi katolickiemu i bluźniercze gazety cieszą się większą względnością i usłużnością cenzury, podczas gdy organowi katolickiemu nie pozwolono nawet zbijać błędów i odpierać zwróconych przeciw niemu napaści. Plan jasno i rozumnie obmyślany; dąży on do tego, ażeby osłabić i rozluźnić wszystkie moralne węzły społeczeństwa a nadto wywołać i przyśpieszyć proces rozkładu."

Zrozumieliście: pisma polskie, przeciwdziałające ultramontanizmowi, są organami działalności rządowej, skierowanej na zgubę narodu. Kiedyś p. Tarnowski, rzuciwszy podczas wykładu uniwersyteckiego o podłogę książką W. Hugo, krzyknął z właściwą mu wytwornością gniewu arystokratycznego: „łżesz jak pies!" My, prostacy, nieużywający tak eleganckiego słownika, powiemy: p. hrabia wbrew prawdzie i swojemu własnemu sumieniu kłamie. Pisma bowiem postępowe nie korzystają u nas z żadnych przywilejów cenzuralnych, jeżeli zaś warunkowa swoboda prasy przedstawia jakieś stopnie, to *Przegląd katolicki* posiada jeden z najwyższych. Nie potrzeba chyba w tym względzie wymowniejszego dowodu nad świadectwo *Dziennika warsz.* Przytoczywszy zmyślenie p. Tarnowskiego, powiada on: "Nie domyślamy się zupełnie, gdzie istnieje taka cenzura i taki straszny plan. Możemy tylko z całą stanowczością zaświadczyć, że u nas, w kraju Przywiślańskim, podobnej cenzury niema i nigdy nie było. Gdyby tylko hr. Tarnowski, który dosyć często bywa w Warszawie, zajrzał do tutejszego *Przeglądu katolickiego*, przekonałby się, że słów jego w żaden sposób nie można odnieść do Warszawy. Wspomniany tygodnik duchowno-katolicki ustawicznie prowadzi bardzo energiczną polemikę z niektóremi wydawnictwami tutejszemi, które hr. Tarnowski niewątpliwie zalicza do „wrogich kościołowi i bluźnierczych." Czyż objaw ten byłby możliwym, gdyby cenzura tak pojmowała swoje zadanie, jak twierdzi hr. Tarnowski? Naturalnie, że nie — a więc sama przez się upada jego insynuacya co do „rozumnie obmyślanego planu," jako czczy wymysł jego fantazyi."

Cóż stańczyk na to? Niech nie sądzi, że go uważamy za pokonanego tym dowodem: stańczykowska stodoła ma dosyć siana do wykręcania się w każdej potrzebie.

Zdaniem p. Tarnowskiego owe „wrogie i bluźniercze" dążenia przykrywają się barwami demokratycznemi i patryotycznemi z obawy narażenia się "większości." Ma to być trucizna w słodkich pochewkach. No, ale jakiż cel tego trucicielstwa? Tak sobie, sztuka dla sztuki? Czy to jest objaw chorobliwej manii, czy też zdradnej rachuby? A jeżeli to są lisie podkopy, do czego one skierowane? Gdybyśmy rzekli, że stańczykowstwo przykrywa się płaszczem patryotyzmu i katolicyzmu dlatego, ażeby pod tą osłoną coś złowić, to moglibyśmy spisać długą litanię wydatnych stanowisk, zyskownych urzędów, procentujących zaszczytów, całe sznury orderów i tytułów, które stanowią rentę stańczykowstwa w Austryi; ale co mają za swe „wrogie i bluźniercze" roboty postępowcy warszawscy? Wszyscy razem pracą swoją mniej zdobyli dóbr doczesnych, niż jeden przyjaciel znajomego

kuzynka biskupa lub ministra Dunajewskiego. P. Tarnowski tak przywykł dostawać lub rozdawać galony służby, że nie może nawet pojąć, ażeby ludzie biedni mogli żyć bez panów, a jakiekolwiek pismo peryodyczne nie być pudłem rezonansowem głosu wydobywającego się gdzieindziej. W jego oczach prasa jest kępą krzaków gorejących, w których objawiają się niewidzialni dla ogółu, tylko dla wybranych bogowie, dający im z przykazaniami torby chleba. Ach, panie hrabio, jakże duch twój jest dziecinnie, albo raczej — krakowsko naiwny! Zechciej uwierzyć, że z tych waszych potwarczych gadanin „od śliny“ ludzie tu serdecznie się śmieją.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wystawa paryska, wskrzeszana z powodu braku materyału sprawa Wohlgemutha, choroba króla holenderskiego i przykre, bo nieco śmieszne położenie ks. Nassau pozostają od dni kilku w cieniu zapomnienia. Uwagę czytelników przykuwa podróż króla Humberta do Berlina. Uwaga ta przecież posiada różne stopnie natężenia. Wschód Europy patrzy na wielkie jasełka obojętnie. Niemcy pełną piersią śpiewają hymn radości, widząc w owych odwiedzinach nowy zakład swej siły i potęgi. Francya zaś zgrzyta zębami lub dla odmiany nuci smętne dumy o niewdzięczności ludów i królów. W samej rzeczy dziwnie się składa, że włoski monarcha z łaski Napoleona III mieszka obecnie w tych samych pokojach, z których Napoleon I po Jenie i Auerstädt wydawał dla rozbitych Prus groźne rozkazy. Jeszcze dziwniejszem jest zachowanie się Crispiego, który jako były czerwieniec w kraju bojaźni bożej i dobrych obyczajów uzupełni zapewne swą owczą skórę. Lud włoski, pełen artyzmu, poezyi i czci dla piękna, zrozumiał, że na tle ciemnem tem jaśniej odbijają się uroczystości berlińskie. W chwili więc, kiedy Crispi zajada smaczne obiady pospołu z ks. Bismarkiem, chłopi w okolicach Medyolanu umierają z głodu, iluminacyi nadszprejskiej stolicy godnie dotrzymują towarzystwa pożary fabryk włoskich, a z okrzykami „hurrah“ pruskich batalionów mieszają się strzały karabinierów i jęki umierających na niwach Lombardyi.

Bytność króla Humberta w Berlinie przygniotła swym ogromem również i mowę ks. Bismarka. Wygłosił on ją przed tygodniem w czasie rozpraw nad ustawą o zabezpieczeniu robotników. Nie było tam dowodów użyteczności nowej ustawy, nie było przyczyn, dla których rząd z projektem owym wystąpił. Złożyły się na nią jedynie gromy, rzucone na głowy „nieprzyjaciół państwa“ i kazanie, wypowiedziane ku zbudowaniu małodusznych zachowawców. Znamiennym jest atoli szczegół, że pomiędzy tych ostatnich zaliczył kanclerz i narodowo-liberalnych; ci zaś ani jednym okrzykiem nie ośmielili się zaprzeczyć słowom swego opiekuna. Co jednak na to powiedzą wyborcy? Zabawną wreszcie dla Europy, smutną, bo ubliżającą dla Niemiec była sprzeczka ks. Bismarka z Eugeniuszem Richterem. Izba poselska we Francyi, miejsce kłótni gwałtownych i niekiedy gminnych, znalazła niebezpiecznego współzawodnika. Jest nim kanclerz. Z ujmą dla swojej powagi nie wahał się on wygrażać przeciwnikowi pięścią i obsypać go gradem obelg, iście ulicznych. W tej samej chwili przydarzyło się ogromne nieszczęście prezydentowi Izby, który powinien baczyć na przebieg rozpraw i utrzymywać je w torach przyzwoitości. Biedak zupełnie ogłuchł; inaczej bowiem ks. Bismark dostałby naganę za użycie wyrażeń nieparlamentarnych.

Odgłos policzka, który otrzymał Rochefort na bruku londyńskim, głośnem echem ozwał się w dziennikach francuskich barwy Boulangera. Osobistą kłótnię wichrowatego spekulanta „w anarchizmie“ usiłowały one przekształcić na wypadek polityczny. Pilotell, zdolny karykaturzysta, a wróg kierownika *L'Intransigeanta* jeszcze z czasów komuny paryskiej, w ich łamach zmienił się na agenta policyjnego. Judaszowe srebrniki Constansa miały skłonić go do znieważenia prawej ręki stronnictwa niezadowolonych. Lekka nabrzmiałość na twarzy Rocheforta wyświadczyła przeciwnie przysługę Boulangerowi. Paryż o nieobecnych zapomina bardzo prędko; nazwisko generała od dwóch tygodni zniknęło ze szpalt dzienników francuskich. Pilotell przypomniał je znowu.

Twierdzenia rządu austryackiego o miłości, którą żywi Bośnia do czarno-żółtego orła, opierały się widocznie na bujnej wyobraźni hr. Kalnokego. Od kilku miesięcy bowiem mnożą się tam liczne oznaki niezadowolenia; wojskowi muszą chodzić gromadami, w innym razie Pilotellowie bośniacko - hercogowińscy w sposób nieco gwałtowny wyrażają im swe niezadowolenie. W Serbii objawił się ruch przyłączenia bratnich ziem; młody król przeczytał na bramie tryumfalnej w Szabaczu szczery napis: „Boże, poprowadź serbskie wojska do Bośni!“ Rząd austryacki chwyta się zwykłych środków; stan oblężenia i trudności paszportowe na granicy Serbii mają ochłodzić umysły bośniaków. Wrzenie wśród nich spowodowały zmiany polityczne na półwyspie Bałkańskim z ostatnich kilku miesięcy. Widząc Milana, rzucającego tron, i Risticzа na czele rządu, naiwni begowie osądzili, że Austrya tak już osłabła, iż nawet Bośnia może rozpocząć z nią zapasy. Rozumowanie jedynie przedwczesne, boć nie ze wszystkiem mylne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Goście warszawscy. — Zasługi p. Barabasza. — Do światła. — *Ognisko*. — *Przewodnik hygieniczny*. — Miłosierdzie w trykotach. — Przemówiło sumienie. — Amator paryskich kawałków. — Z teatru. — Studenci profesorowi.

Rola moja jest dzisiaj wyjątkowo przyjemną; mam do zanotowania wydarzenia piękne, tak, że kilka śmiecisk, jakie muszę przegrzebać, mniejszym przejmują wstrętem.

Przedewszystkiem te piękne.

Mieliśmy gości z Warszawy, którzy wprowadzili nas w zachwyt. Na koncercie p. Szlezygier żywiej błysnęły nasze senne

5)

HOMUNKULUS.

EPOPEJA WSPÓŁCZESNA

Roberta Hamerlinga.

Następująca pieśń nosi tytuł: „Być albo nie być.“ Munkel głosi tu „ewangelię śmierci.“ Głos jego znajduje echo w milionach serc. Zdawna już przesyt, nuda, zniechęcenie ogarnęły ludzkość; teraz potęgują się one do niebywałych rozmiarów. Trzechletnie dziewczynki zapadają na histeryę, malcy stają się hypochondrykami. Samobójcy zapełniają wody, pokrywają gałęzie drzew. W szynkach rozbrzmiewa „De profundis“ i „Miserere.“ Nawet zwierzęta ulegają powszechnej chorobie wieku; nerwowość grasuje między kotkami, woły filozofują *à la* Schopenhauer. To jednak nie zadawala Munkla; pożąda on dla świata nicości, niebytu. W tym celu zbiera powszechny kongres ludzi i zwierząt, hołdowników „pogardy bytu.“ Przemawiają tu tak jedni jak i drudzy (wspólnym wszystkim stworzeniom volapükiem, wynalezionym przez Munkla). Kongresowe mowy niemieckiego doktrynera, zwolennika Schopenhaueryzmu, a zwłaszcza angielskiego lorda, chorego na spleen, gniewającego się na własny cień, sarkającego na ludzkość, że przy całym swoim postępie nie wynalazła dotąd guzików dobrze trzymających się u spodni, — pozostaną chyba na długo drogocennemi perłami głębokiego dowcipu. Po za śmiejącą się twarzą autora, swawolnie wydrwiwającego modny pesymizm wieku, widzisz ciągle inne oblicze, wykrzywione cierpieniem, czujesz, że poeta bierze głęboko do serca otaczające go objawy powszechnego bólu istnienia, że poważnie zastanawia się nad życiem, że sam ulega ogólnej chorobie czasu. Na kongresie staje uchwała, aby położyć koniec istnieniu masowem *niechceniem* bytu; środek ten zaleca jako radykalne mistyczno-metafizyczne lekarstwo niemiecki doktryner, zwolennik Schopenhauera: „Ponieważ świat jakoby powstał przez wolę, *chcenie* bytu, oczywiście tedy brak tej woli ze strony wszystkiego, co żyje, musi go obrócić w nicość.“ Termin, kiedy wszystkie istoty mają jednocześnie objawić swą niechęć bytu, naznaczony zostaje na 1-go kwietnia na godzinę 12-tą w południe. Było to nieostrożnością, w zaraniu wiosny bowiem żywiej zdradza się chęć życia. Jednak z początku wszystko, zdaje się, idzie jaknajlepiej: zaćmiewa się słońce; księżyc, jak herold śmierci, w żałobie staje między niebem a ziemią; w południowej dobie zapada noc... Nagle... robi się znowu jasno i ukazuje się śmiejąca twarz słońca. Dlaczego?!.. A ot!.. dlatego, że dwoje kochanków, Eldo i Dora, spotkawszy się po długiem niewidzeniu, korzystając z ciemności, przylgnęli do siebie ustami. W pocałunku tym objawiła się wola życia *). Pogarda Munkla dla ludzkości dosięga teraz zenitu.

Od wzwyczajonych do obroży bytu ludzi ucieka on na pustynie. Jak „odwrotny Faust,“ od życia przerzuca się do książek, naturę pragnie zaprządz w jarzmo wiedzy, wytresować, jak domowe zwierzę. Usługują mu smoki, górskie duchy, kruki. Udaje mu się naprzód zbudować małą, jak zegarek, maszynkę do myślenia, potem na wzór jej drugą, olbrzymią, rozwiązującą potężniejsze zagadnienia: teraz już natura nie ma dla niego tajemnic. Kieruje on wiatrami do woli, wynajduje panaceum, wytwarza siłę szybszą od światła i elektryczności, sporządza setki maleńkich Homunkulusów, biegających naokoło niego, posiada wszechwidzące i wszechsłyszące instrumenty. Ale to go jeszcze nie zadawala. Ciekawość i wiekuista tęsknota prą go w krainę gwiazd. Buduje więc olbrzymi sześciopiętrowy balon, umieszcza na nim wszystkie swoje aparaty i zapasy żywności na długie czasy i unosi się w górę. Ze wstrętem spogląda stamtąd na wodne i piaszczyste pustynie drobniutkiej ziemi i marnym jej synom śle wyrazy szyderstwa i wzgardy. Ale gdy tak buja, pełen dumy, w przestrzeniach piorun zapala jego powietrzną nawę, a spadające jej cząstki roznoszą ogień i znisz-

*) Zauważymy, że myśl tego pięknego i głębokiego rozwiązania autor prawdopodobnie zaczerpnął z podobnego ustępu „Metafizyki miłości“ Schopenhauera. Według tego ostatniego w pocałunku objawia się wola życia przyszłych pokoleń.

oczy; gdy przyzwyczajeni do śpiewaczek ze szkołą lub bez szkoły, z temperamentem lub przygnębieniem, naraz ujrzeliśmy—artystkę. Słuchacze dziękowali oklaskami a wyszli utwierdzeni w przekonaniu, że na takie wrażenie złożyć się muszą talent, praca, wdzięk i wysoka inteligencya.

Jeżeli wreszcie słyszeliśmy pp. Barcewicza i Michałowskiego, zawdzięczyć to mamy dyrektorowi Towarzystwa muzycznego, p. Barabaszowi. Ale nie to jedynie. Niepowszedni znawca muzyki wycofał z koncertów owe banalne, zwaryowane kompozycye, po których ochota brała targnąć się na własne życie; miłośnik wszystkiego, co swojskie, odszukał zapomniane w archiwach a prześliczne dzieła polskich muzyków; przyjaciel młodzieży, z własnym uszczerbkiem urządza koncerty na korzyść ich stowarzyszeń a dodając blasku pamiątkowym wieczorom, sprawił, że przylgnęła do nich młodzież i publiczność.

Wiadomo, że dobroczynność nasza objawia się tańcującem miłosierdziem lub śpiewającem niemiłosierdziem a bieda zwykle za całą korzyść ma tłuste... czcionki na afiszu. Otóż zdarzyło się niedawno, że uczenica kursów nauczycielskich zemdlała wśród lekcyi, zemdlała z głodu, znużona przepisywaniem notatek po nocach; spała w ubraniu, bo nie miała okrycia. Wzdychano nad dolą głodnej panienki, która przy łojówce wypisywała na sztandarze: do światła, ale o pomocy rzetelnej a cichej, pomyślał on jeden.

Szkoda, że nie pomyśleli młodzi redaktorowie *Ogniska*, nim wypuścili pierwszy numer pisma. Większość bowiem młodzieży, jak wnioskować można z podpisów, publicznie wypiera się z nim łączności, karcąc wydawców za nadużycie firmy. Szkoda, że nie pomyśleli, jak nowy dowód bezładu myśli i działania obniży wartość akademicką, której kurs bywał jeżeli nie wysoko, to przecież serdecznie notowany. Tego rodzaju pisma utrzymują się czasem ofiarą jednostek, ale nigdy ogółu.

Innego przyjęcia doznał *Przewodnik hygieniczny*, dwutygodnik, wydawany przez Towarzystwo opieki zdrowia. Pełen cennych rad i wytrawnych wskazówek przekonał w krótkim czasie, że zdrowie, to prawie szczęście a z pewnością potęga.

Ukazał się w porę, odpowiada gwałtownej potrzebie, a ludziom dobrej woli, krzątającym się koło spełnienia wielkiego obowiązku obywatelskiego, należy się zachęta, uznanie i poparcie.

Omal że nie przepomniałem obowiązku, także obywatelskiego, jaki przyszłe wdowy i sieroty po malarzach zaciągnęły wobec pań krakowskich. Rozigrana dobroczynność popisywała się widowiskiem amatorskiem, ukazując jak zwykle szereg talentów scenicznych, marnujących się przy domowych ogniskach, talentów, które w notatkach spiżarnianych piszą „jendyczka na majalis.“ Nie wspominałbym o widowisku, gdyby nie to, że wieczór taki zapisuje się w księdze ważnych wydarzeń Krakowa, zdania jednak były podzielone; jedni utrzymywali, że pani A. grając, przeszła samą siebie, drudzy — że nie wiedzieć kogo; że pani B. w roli mamki nie zostawiała nic do życzenia, gdy drudzy przysięgali, że wyglądała jak... moździerz.

Czasem talentom lepiej w ukryciu!

Są jednak dzielni ludzie. P. Lubicz, reżyser i dyrektor artystyczny teatru, niezmordowany na wszelkich polach, nawet najbardziej jałowych, zrozumiał, że przysłuży się sztuce polskiej, zakładając w Sukiennicach sklep z kapeluszami, sznurówkami i bielizną damską. Tęga głowa! Ręczę, że gdyby ją anatomicznie rozebrano, to pod czaszką, zamiast drobnostek, jak opony, mózg itd. znalezionoby... paryski kapelusz. Dnie całe przepędza w sklepie i słusznie czyni; pochwalić to można równie towarzyszce jego sklepowej a artystce teatru, p. Zalewskiej; role to dla nich tak właściwe, że krzywdę sobie wyrządzają, on—kierując teatrem, ona — grając w nim dystyngowane margrabiny. Nie wypada jednak chwalić, że na *paryskie* artykuły łowi nasze elegantki.

Żywo mamy w pamięci rozruch szewców, kiedy siłą uderzyli na sklep fabrykanta wiedeńskiego; pamiętamy, że prasa wzięła ich w obronę, a znając łatwowierną publiczność, widziano w tym szewcu uprzywilejowanego rozbójnika.

W tym wypadku dostrzegam pewne podobieństwo, a okoliczności złożyły się jeszcze gorzej. Prasa nie ujmie się za naszemi modniarkami i kapeluszniczkami a one same nie zdobędą się na wybicie okien i wyrzucenie zagranicznego kramu na ulicę.

Handlarz tryumfuje, czupiradła mają odbyt.

Czy i inne panie z teatru przerzucą się na mleczarnie, dystrybucye i wodę sodową, nie słyszałem dotąd.

W teatrze ruch; po występach p. Kotarbińskiego, widzów ściąga p. Wisnowska; należy się jej wdzięczność za odwagę, na jaką zdobyła się przyjmując zaproszenie przedsiębiorcy.

Studenci medycyny święcili uroczystość. Ukochany przez nich dyrektor Kliniki lekarskiej, profesor Korczyński, mimo próśb przedstawicieli rządu i kraju, nie przyjął ofiarowanej mu posady protomedyka Galicyi. Wiadomość, że zostaje on nadal na zaszczytnem, ale i tak żmudnem stanowisku, rozpaliła młodzież; oceniono w tej chwili pobudki i odtąd rozpoczął się szereg objawów radości i wdzięcznego uznania, radości serdecznej, synowskiej. Postać to piękna, a różniąca się wybitnie od reszty profesorów naszego uniwersytetu. Tamci niedostępni a rozgłośni, zaskorupieni w polityce swego stronnictwa, spragnieni łaski rządu i sławy poselskiej, wpatrzeni w siebie nie widzą młodzieży. Inaczej on, niestrudzony szermierz postępu, mimo krakowskiej atmosfery, wytrwale uchyla wszystkie godności, które ścieśniałyby zakres nauczycielskiej działalności. Wsparty na szerokiej wiedzy przestrzega czystości mowy, uchyla skażenia języka, tak powszechne w piśmiennictwie lekarskiem. Jemu zawdzięczają uczniowie wydawnictwo dzieł lekarskich polskich, on jeden podniósł zdrojowiska krajowe do tej wysokości, na jakiej dzisiaj się znajdują, zachęcił do wyrabiania przetworów leczniczych w kraju, a mimo uporczywego przywiązania ogółu do etykiet zagranicznych, zdołał rozpowszechnić swojskie.

Uczniowie czczą go, ale bo on też i wychowuje ich. Wielką naukę etyki lekarskiej słowem i przykładem wpaja w młode umysły; w jego klinikach chory nigdy nie jest wyłącznie materyałem, ale człowiekiem, który szuka pomocy u bliźniego. Ludzie natury surowej pozbywają się tu szorstkości i wychodzą uszlachetnieni, wdzię-

---

czenie po świecie. Ale Munklowi nie stało się nic złego: balon jego w znacznej części zbudowany jest z materyj niezniszczalnych. Wypadek tylko chwilowo zmusza go spuście się na ziemię i tu Munkel, na szczycie Libanu, dostrzega pogrzeb mniszki. Wiedziony przeczuciem, porywa trumnę i znajduje w niej zimne, ale wiecznie piękne ciało Lorley. Martwą ciśnie do piersi, zabiera na swój powietrzny statek i znowu unosi się w górę, — ale teraz, jak gdyby spełniwszy już swoje ziemskie posłannictwo, na wieki dostaje się w sfery eteru, gdzie kołuje, niby asteroid. Jego balon jest obecnie arką na oceanie eteru, arką, dla której niema zielonego brzegu przystani. W sercu Munkla teraz dopiero budzi się tęsknota za ziemią. Spogląda na nią przez swój aparat i wydaje mu się ona już nie pustynią półwodną i pół-piaszczystą, ale wspaniałą, nęcącą tysiącem cudów krainą; widzi Eldo i Dorę złączonych węzłem miłości, przedstawiających obraz pierwotnej mocy i pełni ducha ludzkiego; widzi męczenników i bojowników wielkich idej, — i godnemi zazdrości wydają mu się cierpienia i radości człowieka. Topiąc wzrok w martwych licach Lorley, która tak jak on nigdy duszy nie miała, zapytuje z westchnieniem: czemuśmy nie mogli kochać?! Powietrzna arka unosi go dalej w bezmierną przestrzeń eteru i dotąd go tak nosi, jako „Ahaswerusa świata,“ co nie spocznie nawet wówczas, gdy kości Ahaswerusa ziemi wraz z ziemią rozsypią się w proch, „bo komu święta, tajemnicza matka natura odmówiła życia przez miłość i w miłości, temu odmawia także śmierci, najpiękniejszej z wszystkich śmierci — w miłości!“

* * *

Taką jest treść poematu Hamerlinga, rozpoczynającego się od żywej, a jędrnej przygrywki, a zakończonego mistyczno-fantastycznym obrazem. Jest-li to w istocie owa oczekiwana przez nas „współczesna satyro-epopeja“? Z tego punktu widzenia poemat Hamerlinga nie wytrzymuje krytyki. Za mało w nim powagi, za mało konsekwencyi, zbyt słabo uwzględnione czynniki psychologiczne, zbyt często satyra przechodzi w karykaturę, a nietamowana niczem wyobraźnia odrywa nas od gruntu rzeczywistości. Z tego punktu widzenia jest on słabym i artystycznie: dziesięć jego pieśni stanowi dziesięć luźnych, zamkniętych epizodów, następujących po sobie bez właściwego stopniowania i rozwoju (np. „Nowy Izrael“ po „Szkole małp“). Z tego punktu widzenia wreszcie jest on jednostronnym pod względem przewodniej swojej idei.

Autor ostrze swojej satyry zwraca przeciwko naszej cywilizacyi, przeciwko obecnym stosunkom politycznym i społecznym, przeciwko dzisiejszej nauce i poezyi; prądy czasu, zasady obecnego życia, twierdzenia nauki rozwija on do ostatecznych konsekwencyj, sprowadza *ad absurdum*, usiłuje dowieść, że w praktycznem zastosowaniu obracają się one zawsze w śmieszność, w zło, w zgubę, w nicość! Niepodobna nie zgodzić się z autorem, że kultura dzisiejsza w znacznej części wypacza charaktery, że rozwój świadomości i krytycyzmu odjął życiu wiele powabu, że filozofująca myśl, przegryzając siebie samą, sprowadziła pesymizm, że wygórowane dążności cywilizacyjne, rozsypując się w proch przy zetknięciu z rzeczywistością, wywołały zniechęcenie, że wzrost dobrobytu pociągnął za sobą przesyt i zdenerwowanie; pomimo to jednak musimy uznać wywody autora co najmniej za jednostronne. Wniosek ten nasuwa się tem bardziej, że poetycka argumentacya Hamerlinga nie jest bynajmniej przekonywającą: zbyt często u niego górującą rolę odgrywa przypadek; on to przeważnie burzy w poemacie już tryumfujące zasady, a nie logiczny ich samorozwój (np. zwycięztwo indyan nad wszechpotężnem państwem małp).

Wskazaną tu ideę dopełnia druga: przyczyną upadku wszystkiego, co przedsiębierze Homunkulus, jest to, że nie potrafi on kochać, że jego czyny nie są poczęte w miłości; jest on wyobrazicielem dzisiejszej ludzkości, która zarzeka się uczucia na rzecz rozumu. Lecz i tu dowodzenie autora jest chwiejnem, gdyż na dziwaczny zresztą stosunek Homunkulusa do Lorley nie można inaczej patrzeć, jak na stosunek miłości, co potwierdzają mnogie ustępy poematu. Ostateczną wskazówkę moralną zawarł autor w epigrafie swojego utworu:

Myśl i zmysły nie znają wytchnienia;
Tylko w sercu naszem spokój kwitnie,
Radość, miłość górują tam szczytnie,
Żyje święte pragnienie istnienia.

czni profesorowi, który po apostolsku pojął swoje powołanie. Uczniowie rozsypani po świecie, jeżeli zajrzą do Krakowa, śpieszą powitać profesora i z rozrzewnieniem ściskają tę zacną dłoń, która nigdy nie cofała się przed dobrym, choćby twardym czynem i która ich prowadziła po ciężkiej drodze nie siłą, ale ciepłem ojcowskiej tkliwości.

Nie dziwimy się, że on jeden tylko jaśnieje na tem chmurnem tle uniwersytetu, jak nie dziwimy się, że słońce tylko jedno.

Rola moja była dzisiaj wyjątkowo przyjemną.

Mor.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 17 maja.

Koniec dyskusyi budżetowej w parlamencie austryackim. — Nowele szkolne ministra Gautscha i znaczenie ich dla Galicyi. — Sądownictwo galicyjskie a minister Schönborn. — Sztuka polska na dorocznej wystawie Künstlerhausu. — Hirschl i Strasser, laureaci tegocześni.

Po kilkutygodniowych feryach świątecznych zawrzało w Wiedniu na nowo życie parlamentarne, które w tym roku dłużej, aniżeli zazwyczaj, się przeciąga. Na tle obradującego właśnie wiecu katolickiego wniósł minister Gaustch rządowy projekt reformy ustawodawstwa szkolnego, przez wszystkie stronnictwa z oburzeniem przyjęty. Wiadomo jednak, że o ile szczerem było oburzenie żywiołów postępowych, o tyle głośne protesty reakcyonistów i klerykałów były aktem obłudy, mającym na celu przygotowanie rządu do dalszych wymagań partyi wstecznej. Wymagania te wystąpiły w całej pełni na kongresie katolików austryackich, na którym Zallinger wyrzucał Lichtensteinowi niedbalstwo w sprawie szkół wyznaniowych. Uchwalono potrzebę nadania charakteru wyznaniowego nietylko szkołom ludowym, lecz przemysłowym i średnim; katedry uniwersyteckie powierzane być mają wyłącznie katolikom ścisłej obserwacyi. Jan Popiel wniósł, aby wiec oświadczył się za potrzebą zakładania internalów państwowych z charakterem wyznaniowym dla nauczycieli szkół katolickich, a ks. Stadnicki, ażeby egzamin dojrzałości obejmował naukę religii.

Wobec jasno odsłoniętych celów partyi reakcyjnej, słusznie nazwano nowelę szkolną Gautscha ramami, w które Lichtenstein i towarzysze wtłoczą treść dowolną. Gautsch z kurtoazyi dla klerykałów musiał wnieść projekt rządowy, który dyskutowanym być musi, gdyż wniosku Lichtensteina podobno nawet do głosowania by nie dopuszczono. Nie mógł jednak iść za Lichtensteinem w śmiałem projektowaniu szkół wyznaniowych: chwycił się drogi, na której w Belgii dokonywają się w tym kierunku postępy olbrzymie. Dopuszcza zakładanie szkół prywatnych, którym rząd przyznaje prawo wydawania świadectw państwowych; zaznacza, że szkoły te mogą w danym razie zażądać subwencyj z funduszów gminnych, krajowych i państwowych. W razie, gdy prywatna czynić będzie w okręgu danym zadość potrzebom oświaty publicznej, rząd zamknąć może istniejącą tamże szkołę państwową. Oto trzy etapy, na których odbyć się ma przekształcenie szkół bezwyznaniowych na konfesyjne. Nauka religii ma być, według noweli, unormowaną przez władzę kościelną w porozumieniu ze szkolną; w razie niemożności porozumienia, obie władze odwołać się mają do ministra wyznań i oświaty po decyzyę. W ten sposób reakcya znowu drogę ma otwartą; partya klerykalna, potężna w parlamencie, liczyć może na przychylność ministra.

Taką jest treść głównej noweli Gautscha, która niezawodnie ulegnie odpowiedniej krytyce stronnictwa parlamentarnego. Dwie inne nowele, wniesione przez ministra, odpowiadają potrzebom Galicyi i zapewne bez długiej dyskusyi będą przyjęte. Pierwsza z nich wnosi stabilizowanie inspektorów szkolnych. Dotychczasowe niestatowe posady inspektorów okręgowych przeniesione być mają na etat państwowy. Tem samem inspektorowie znajdą się w stosunku bezpośredniej zawisłości do ministra. Czesi, których stosunki szkolne są odbiciem walki, toczącej się między wpływem niemieckim a narodowym, wolą posady owe utrzymywać z funduszów krajowych, w takim bowiem razie inspektorowie działać będą bardziej w duchu władz autonomicznych. Galicya, której szkolnictwo centralistycznych zachcianek obawiać się nie potrzebuje, spokojnie przyjąć może ulgę budżetową. Ostatnia wreszcie nowela ministra Gautscha ustanawia zastępcę namiestnika, jako wiceprezydenta krajowej rady szkolnej w Wiedniu, we Lwowie i w Pradze. Dotychczas namiestnik, posiadający zazwyczaj tylko wykształcenie polityczne, był prezem rady szkolnej, z której sprawami mało był obeznanym. Nowo ustanowiony zastępca jego będzie urzędnikiem fachowym i stałym; ma posiąść w zakresie szkolnictwa takie znaczenie, jak zależny od burmistrza naczelnik magistratu w zakresie spraw miejskich.

W ciągu ostatnich rozpraw budżetowych traktowano też sprawę sądownictwa galicyjskiego. Poseł Bobrzyński, jako referent komisyi budżetowej, uzasadniał zaproponowane przez komisyę rezolucye względem pomnożenia sędziowskich urzędników konceptowych. Przyczyna smutnego stanu sądownictwa galicyjskiego leży przedewszystkiem w zastarzałem postępowaniu ludu, oraz w dysproporcyi pracy do ilości sił, przeznaczonych do jej pokonania. Co do samego postępowania sądowego zaznaczył Bobrzyński, że wyrodził się w Galicyi t. zw. ustny proces, sprzeciwiający się ustawie. Wskutek odraczania wyroku, powstaje niekiedy stan formalnego bezprawia. Nawał pracy zmusza urzędników sądowych do usuwania się od życia publicznego, towarzyskiego i naukowego; nie pozwala im śledzić postępów nauki prawniczej, poznawać zmieniających się potrzeb ludu. Po usunięciu rzeczonych wadliwości, łatwo będzie prezydentom sądów wprowadzić w dziedzinę sądownictwa ducha naukowego wykształcenia i należyte zrozumienie cywilizacyjnych i ekonomicznych potrzeb narodu. W odpowiedzi na wywody Bobrzyńskiego, minister sprawiedliwości Schönborn, oświadczył, że przyjmuje z wdzięcznością projekt reformy; obecne żądanie komisyi budżetowej zgadza się z opinią jego i z wolą rządu, to też poczynione już zostały kroki celem przeprowadzenia reorganizacyi sądownictwa galicyjskiego. Na podstawie sprawozdań i wniosków galicyjskich sądów apelacyjnych, postanowił rząd utwo-

---

W istocie, jeżeli znajduje się gdziekolwiek taki środkowy punkt, w którym duch człowieka mógłby odpocząć, jak Ahasverus w środku ziemi, to jest nim kochające serce. Ale cóż z tego, kiedy niespokojny duch człowieka, porwany odśrodkową siłą, zdolny jest raczej oderwać się od tego punktu przyciągania, wskazanego przez poetę i odbiedz w przerażającą nieskończoność przestrzeni, aniżeli skupić się w tem ognisku. Gdzież jest ów sternik, co wprowadzi nas do tej cichej przystani? Poeta, zda się, postawił przed nami „drogowskaz o nieskończonem ramieniu.“ A i z drugiej strony, bodaj czy ma on słuszność: czyż dzisiejsze serca, te, które naprawdę kochają, nio są podobne raczej do krwawych ran, do niezgłębionych przepaści bólu, aniżeli do cichych portów?

Nakoniec, co do samej postaci Homunkulusa, wydaje się nam ona chybioną. Autorowi potrzebnym był dla przeprowadzenia przewodniej myśli bohater z nienasyconą żądzą wrażeń, który potrafiłby wcielać w życie najtrudniejsze zamiary, geniuszem i cierpliwością doprowadzał je do szczytowego punktu, od którego dopiero rozpoczynałby się upadek, bohater, któryby z drugiej strony posiadał słabość dzisiejszego człowieka, któremu ostatecznie nic się nie udaje. Przydatnym do tego wydał mu się sztuczny, chemiczny człowieczek (Homunkulus) wysmażony w retorcie, nieśmiertelny jako materya *). Potrafi on wszystko i — nic. Zauważymy, że ta mięszanina sprzecznych rysów: bajecznej mocy i życiowej słabości, bynajmniej nie zadawala ani naszej fantazyi, ani poczucia psychologicznej prawdy. Już od pierwszej chwili po wyjściu z retorty choruje Homunkulus na przesyt i zdenerwowanie; zrodziła go dzisiejsza nauka, posiada on więc wszystkie modne choroby dzisiejszych czasów: konsekwencyę tę pozostawiamy na sumieniu autora. Dalej autor nie wyjaśnia nam dostatecznie stosunku pomiędzy działaniem natury i sztuki w swoim podwójnie tworzonym bohaterze, który też do końca pozostaje postacią niejasną, niedostatecznie przemyślaną. Homunkulusowi brak wreszcie pewnego niezbędnego rysu: związku z czytelnikiem. Ten sztuczny człowieczek nie budzi w nas wstrętu swojemi wadami, ani też sympatyi, kiedy cierpi. Jest on dla nas do końca całkowicie obcym i to może jest jego najsłabszą stroną: na on przecie być wcieleniem tej nieszczęśliwej, przesyconej, schorowanej a ambitnej ludzkości, której cząstką jest każdy z nas!

Takie są słabe strony utworu Hamerlinga, rozważanego pod szerszym kątem krytycznych wymagań. Jeżeli jednak zniżyć skalę krytyczną, jeżeli przypuścić, że autor żartobliwie utwór swój nazwał „epopeją współczesną,“ mówiąc jak gdyby do swojego wieku: „patrzaj, jaki jesteś mały i śmieszny w swojej nadętej pysze, jak głupi w swojem mędrkowaniu i małpowaniu wielkich idej, patrzaj, jak swawolnie potrafię ciebie wydrwić, włożyć ci kaftan błazna na ramiona, wywrócić twoje poważne szaty podszewką do góry,“ — jeżeli takie były jego zamiary, to musimy przyznać, że wykonał je świetnie. Ustawił on szereg wypukłych zwierciadeł przed nami, a wykrzywionym w nim rysom nie możemy odmówić podobieństwa do oryginału; tak zręcznie umieścił swoją satyryczną latarkę, że wielkość nasza rzuciła wysoce zabawny, a wydłużony cień na pole jego wyobraźni; poważnemu, jak komandor z Don Juana, rozumowi wieku kładzie w nos słomkę i zmusza go do kichania. Jest przytem niewyczerpany w pomysłach, dowcipny i jadowity, porywa mistrzowstwem fantazyi, posiada rzadkie bogactwo stylu, jest może pod tym względem nawet zbyt rozrzutny, gdyż nakładając barwy bez miary, oszałamia czytelnika i zaciera całość obrazu, nakoniec pomimo swawoli umie być i głębokim, zna swój czas i trafia w jego słabe strony, a miejscami pobudza do poważnych i chmurnych refleksyj.

Dlatego to poemat Hamerlinga wysoko unosi się ponad płytkiemi mętami dzisiejszej literatury niemieckiej i dlatego uważaliśmy za stosowne zaznajomić z nim bliżej naszych czytelników. Bądź co bądź jest to objaw talentu, z którym liczyć się trzeba.

Leopold Blumental.

---

*) Czemu Homunkulus nie może rozłożyć się na pierwiastki, z których został złożony? Autor przecie w pierwszej pieśni wróży mu tylko 80 lat życia. Czemu Lorley, równie pozbawiona duszy, umiera? Autor milczy o tem.

rzyć w ciągu trzech lat 128 nowych posad sędziowskich w okręgu krakowskim i lwowskim. Minister zaznaczył, że nie czyni to może w zupełności zadość uprawnionym życzeniom, jednakże na większe inowacye zdobyć się nie pozwala z jednej strony położenie skarbu państwa, z drugiej trudność znalezienia sił odpowiednio wyrobionych. Te same względy stoją na przeszkodzie pomnożeniu liczby sądów powiatowych w Galicyi, chociaż potrzeba tego jest uznaną. Po ministrze przemawiali jeszcze w sprawie sądownictwa galicyjskiego deputowany Madeyski, zaznaczając liczne anomalie w organizacyi sądów galicyjskich. Zauważył, że przy sądzie krajowym w Krakowie niema sędziego śledczego, śledztwa spoczywają w rękach młodych adjunktów i auskultantów. Przy końcu przemówienia swego Madeyski wyraził ministrowi sprawiedliwości podziękowanie za pierwszą próbę uchylenia niedostatków sądownictwa galicyjskiego.

W Künstlerhausie sztuka polska mniej świetnie występuje obecnie, aniżeli roku zeszłego na wystawie jubileuszowej. Zawsze jednak przeszło dwadzieścia płócien artystów polskich znajdziesz w pięknie udekorowanych salach wystawowych na Lothringerstrasse; jedynie rzeźba nie jest reprezentowaną wcale. Największy rozgłos pozyskały prace Tadeusza Ajdukiewicza, świeżo przez cesarza Franciszka udekorowanego za portret arcyksięcia Rudolfa. Dzieło to, podobnie jak portret generała księcia Croy, naśladuje znane wizerunki Napoleona I, tylko że wszystko w niem zimniejsze, gładsze i błyskotliwsze. Arcyksiążę Rudolf i książę Croy, obaj na ulubionych wierzchowcach, o wymiarach drobnych, występują w pełnem świetle na tle błękitu niebios. Mundury generalskie i lśniąca sierść wymuskanych wierzchowców nadają portretom tym cechę sztywną, dworską; twarzom podobieństwa odmówić nie można. Dobitniej jeszcze występuje cecha ta na obrazie przezwanym "Parforce-Jagd," a przedstawiającym rodzinę hrabiego Larischa. Pan hrabia w stroju myśliwskim na prześlicznym koniku, pani hrabina w koszyku najświeższej konstrukcyi i parę hrabiąt na kucykach; w głębi znowu jakiś koszyk z parą koni sztywnych, drewnianych, ale elegancko zadzierających głowy, oto „łowy" Ajdukiewicza. Podczas gdy pędzel Tadeusza Ajdukiewicza na usługach możnych zdobywa się tylko na blichtr świecący a bezduszny, Zygmunt Ajdukiewicz nadsyła z Monachium cenne studya pejzażowo-rodzajowe. Zapewne nikt ze zwiedzających wystawę nie przeoczył humorystycznej sceny jego „Aj waj!" przedstawiającej żyda mleczarza, wracającego gościńcem na wieś na wózku, który ciągnie szkapa wychudła. Psy wiejskie napastują szkapę, która, przestraszona, galopem się puszcza, wyrywając lejce z rąk przerażonego woźnicy. Jest to rzecz pełna życia. Tegoż malarza „Powrót z targu" również zasługuje na uwagę dla szczęśliwego oddania szybkiego ruchu. Pomimo to, że motyw oklepany, wyzyskany zwłaszcza we wszystkich odmianach przez węgrów, patrzeć na pracę Ajdukiewicza można z zajęciem.

Kozakiewicza „Cyganka" zasługuje na uwagę, którą i publiczność i pisma na nią zwracają. Dziewczynka, siedząca w łachmanach około ognia, świeżo rozniecconego, w uśmiechniętej twarzyczce, w oczach ciemnych, głębokich, tyle ma tajemniczej poezyi, tyle zarazem przebiegłości, ile jej plemię posiada. Pejzaż stepowy znakomicie się dostraja do tej postaci dumającego podlotka cygańskiego. „Wesele wiejskie z okolic Krakowa" wykazuje inne zalety pędzla Kozakiewicza: pełno tu rysów wprost wziętych z życia. Żebracy, muzykanci, arendarz i żandarm, pochwyceni są szczęśliwie i oddani z werwą. Tylko para nowożeńców za płynna, za gładka. Piękne te maryonetki, w strojach ludowych, nie powinnyby się były wkraść do kompozycyi, opartej zresztą na realizmie.

Wojciech Kossak nadesłał obrazy nierównej wartości. „Markietanka," to studyum z ćwiczeń wojska austryackiego, którym Kossak niejeden już cenny zawdzięcza motyw. Pod laskiem grupują się około wózka markietanki żołnierze. Szeroka perspektywa okazuje mnóstwo postaci, wybornie pochwyconych w ruchu. Dwa obrazy natomiast, przedstawiające hrabiego Jaszykiewicza w walce z oddziałem kozaków podczas rejterady moskiewskiej, oraz Napoleona I, ozdabiającego hr. Jaszykiewicza krzyżem legii honorowej pod Smoleńskiem, należą do rzędu robót zamówionych, któremi wielcy panowie łechcą swą próżność, twierdząc, że popierają sztukę. Jeżeli artyście wypadło uświetniać dzieje rodu Jaszykiewiczów, niechby obrazy odrazu zawisły w komnatach pana hrabiego, boć Kossakowi chluby nie przynoszą ani ci ludzie rzuceni od niechcenia, z sztuczną werwą, źle maskującą obojętność artysty dla tematu, ani te konie „obstalowane," tak bardzo różniące się od żywych, pysznych rumaków Kossaka.

Na zakończenie przeglądu obrazów polskich, wspomnieć winniśmy o trzech pejzażach Romana Kochanowskiego, nadesłanych z Monachium. Najudatniejszym z nich jest obraz małych rozmiarów, wyobrażający wieczór. Przedstawia on nad smugą pola odcinek niebios równych rozmiarów, z lekka zarumieniony. Młody wieśniak, idący ścieżką przedstawia jedyną w tym obrazie figurę. Jest to studyum kolorystyczne, wykonane sumiennie i z talentem. W „Motywie z Polski," osnutym na tonie zielonym, występuje nie mniejsza pilność i staranność, tylko że ubóstwo krajobrazu, wobec braku zajmującej gry barw, działa oschle i nużąco. Najsłabszy obraz Kochanowskiego, to „Las w jesieni," który posiada ową realistyczną bezpretensyonalność przedmiotu bez realistycznej wierności rysunku i kolorytu.

W dziale architektonicznym liczne wystawił prace budowniczy Niedzielski, który wraz z Mikschem w ostatnich czasach liczne w Austryi wykonywa roboty. Zajmujące są akwarele jego, przedstawiające projekt nowej kolonady dla Maryenbadu; obok tego projekt teatru dla Bielska, wreszcie kościoła dla Wiednia. Ignacy Sowiński nadesłał na wystawę rysunek piórkiem, przedstawiający fasadę powierzonej mu budowy kościelnej w Wiedniu (na Dorotheergasse), projekt dla gmachu kasy oszczędności we Lwowie, wreszcie placu im. Radeckiego dla Wiednia.

O innych dziełach sztuki, pomieszczonych na wystawie Künstlerhausu, pomówimy w jednym z listów następnych. Dziś wspomnimy tylko o obrazie i o rzeźbie, które odznaczone zostały pierwszemi nagrodami. Nagrodę im. Reichla otrzymał młody malarz Adolf Hirschl z Wiednia, za obraz przedstawiający wizyę św. Cecylii. Hirschl, który zeszłego roku zwrócił był na się uwagę małym obrazem fantastycznej natury (Ahaswer umierający wśród pól lodowych), przedstawił św. Cecylię w stroju bogatym, leżącą bezprzytomnie; wokoło niej aniołowie, postacie błękitno-przezroczyste, śpiewają, wtórując na instrumentach. Wizyi tej brak owej wietrzności, któraby mogła pogodzić widza z przedmiotem; zachwyt w twarzy św. Cecylii jest najudatniejszym w obrazie rysem. Jemu też zawdzięcza Hirschl nagrodę, którą fundator przeznaczył dla malarza, który najdokładniej wyrazi namiętność lub uczucie duszy. Medal złoty im. arcyksięcia Karola Ludwika przyznano młodemu rzeźbiarzowi, Arturowi Strasserowi, który jest głównym w Wiedniu przedstawicielem szkoły naturalistycznej. Strasser otrzymał medal za małą statuetkę, wyobrażającą młode dziewczę wiejskie z dzbanuszkiem. Wystawił nadto drugie dziewczę z gęsią. Obie ujmują zupełną naturalnością prostaczych twarzy, skromnych sukienek i niepięknego, szczupłego ciała. Ani śladu idealizmu helleńskiego, ożywiającego po dziś dzień rzeźbę, nie widać też w kolosalnej lwicy, wystawionej przez tegoż artystę. Dla niego i jego towarzyszów niema już ani kompozycyi, ani motywów idealnych — jest tylko portret.

Stwosz.

ALFRED POTOCKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Jeden ze złośliwych dziennikarzy galicyjskich w przystępie szczerości napisał, że Galicyi największą przysługę wyświadcza śmierć. Zabiera ona bowiem starców, dla których teraźniejszość zawsze wydaje się gorszą w porównaniu z przeszłością. Stąd też w ich wyschłej i zapadłej piersi goreje jedyne pragnienie, niebezpieczne dla rozwoju społeczeństwa, ukształtować przyszłość na obraz i podobieństwo lat minionych.

Dopóki na czele całego życia politycznego będą tam kroczyli ludzie, których lata dojrzałe przypadały na 1850—1860 r., tak długo wszelkie reformy i ulepszenia nie zejdą, jeno zginą i zmarnieją w lamusie projektów, w kurzu aktów każdej komisyi, czy to sejmowej, czy parlamentarnej.

Połączcie ów wstręt do nowości z zaśniedziałą zachowawczością, spokój samoluba z kosmopolityzmem, chciwość powiększenia własnych zasobów z obojętnością dla dobra powszechnego, kastowość ze wstrętem do twardych karków i umysłów śmiałych, a szczerych, to otrzymacie możliwie wierny, duchowy wizerunek Alfreda Potockiego.

Wtedy każdy odpowie sobie sam, czy mogła być pożyteczną działalność takiego człowieka jako namiestnika Galicyi, czy mógł on szczerze sprzyjać federalistycznym dążnościom słowian austryackich jako prezes ministrów w 1870 r.

I w samej rzeczy lata jego namiestnikowania w Galicyi są epoką rozluźnienia uczuć obywatelskich w administracyi, epoką najgorszej protekcyi, chwilą, w której starosta powiatowy sądził, że jest panem życia i śmierci obywateli swego okręgu. Za czasów to Alfreda Potockiego najwięcej kołnierzy starościńskich błyszczało na ławach sejmowych, za jego to urzędowania rozpoczynają paniczykowie arystokratyczni awansować niezwykle szybko ku szkodzie bezherbowych towarzyszów.

A kiedy zasiadł on po raz pierwszy w r. 1867 na ławie ministeryalnej, jako szef wydziału rolniczego, dla Galicyi nic a nic nie zrobił. Sam starając się o rozwój gospodarstwa we własnych majątkach, o podniesienie rolnictwa w Galicyi bynajmniej się nie troszczył. Nawet na kurs rolniczy, istniejący w Wiedniu, raczył powołać ze swego rodzinnego kraju zaledwie dwóch — wyraźnie dwóch — nauczycieli, podczas gdy z innych krajów i kraików (Szląsk) kształcono kosztem rządu całe legiony nauczycieli.

Przez całe życie pozostał dyletantem, gruntownie znając się jeno na hippice i sporcie końskim. Wykształcenia społecznego posiadał tylko tyle, by każdą sprawę pobieżnie zrozumieć i z godnością przytakiwać sądowi lepiej tę rzecz znających. Wymownym nie był; przyzwoicie jednak, gdyż u niego przyzwoitość towarzyska przodowała we wszystkiem, umiał zagajać zjazdy rolnicze, narady gabinetowe, powiedzieć kilka słów wreszcie na obronę siebie lub rządu w Izbie poselskiej. Nie cierpiał wszelkich uniesień i poruszeń; jego marzenie stanowiło pozbycie się krwi gorącej, a zdobycie chłodu, rybiego zimna zawsze i wszędzie. I celu swego dopiął. Stał się po-

dobnym do mumii, której nic nie rozgrzeje, nie zapali.

Raz przecież jedyny, przed kilku laty uniósł się za daleko, dalej nawet, aniżeli zrobiłby to człowiek „z gminu.“ Wówczas chodziło zachowawcom o zgniecenie stronnictwa postępowego, które wzmogło się na siłach, rozwinęło szerszą i trwalszą agitacyę polityczną, a trzema swemi dziennikami zdobyło liczny zastęp czytelników. Hr. Alfred Potocki, mimo że był namiestnikiem, obowiązanym do bezstronnych rządów, sam przewodniczył obradom komitetu stańczykowskiego, obmyślającego środki zgniecenia postępowców. Sypał pieniędzmi, polecał komisarzom powiatowym i starostom „łeb urwać hydrze,“ wpływał wreszcie na ministra sprawiedliwości, by ten rozkazał prokuratorom częściej konfiskować owe trzy dzienniki i w ten sposób podkopać ich byt materyalny. Usiłowania te szczęściem nie doprowadziły do celu.

Przyzwoitości pozbywał się i wtedy, gdy szło o interesa rodowe, które posiadały dla niego po za własnem *ja* największe znaczenie. Jego sojusz z Adamem hr. Potockim z Krzeszowic słynął przed dwoma dziesiątkami lat i przedtem jeszcze, jako łańcuch, którego nawet obowiązki dla społeczeństwa nie mogły rozerwać.

Dziwnie też brzmią w mych uszach jęki pogrzebowych płaczek, widzących w zmarłym męża niespożytych zasług. Była to raczej zawada do dalszego postępu, do zdemokratyzowania Galicyi, do zamienienia jej *in ein actives Land* dla cywilizacyi.

Adam Nowicki.

BADANIA NAUKOWE.

PORÓWNANIA ETNOGRAFICZNE

(Ryszarda Andree).

Etnografia jest przedewszystkiem nauką opisową. Czynione przez nią postępy znajdują się w najściślejszym związku z bogactwem i wiarogodnością gromadzonego materyału faktycznego. To znowu zależy od częstszego i dłuższego stykania się z dalekiemi grupami rodziny ludzkiej. Już z góry możemy przeto przyjąć, że jest to nauka angielska w całem słowa znaczeniu, gdyż ten język posiada najwięcej i przy tem najcenniejszych rozpraw w tym przedmiocie. Winniśmy też pojąć, dlaczego niemcom dostała się rola kopciuszka — tak dalece, iż w poszukiwaniach etnograficznych można śmiało obejść się bez źródeł niemieckich. Dopiero w ostatnich czasach widzimy zwrot ku lepszemu, mianowicie odkąd państwo to rzuciło się na drogę prób kolonizacyjnych i sprzedawania czarnym ludom europejskiej tandety, starzyzny i alkoholu. Wogóle jednak, etnografia niemiecka sprowadzała się dotychczas do robót kompilacyjnych, korzystających z materyału angielskiego i innych. Że między niemi mogą znajdować się czasem rozprawy bardzo cenne, nie zmienia to bynajmniej położenia. W żadnym razie nie mamy tu czegoś nowego, lecz jedynie zestawienie faktów rozrzuconych, wykazywanie sprzeczności, wreszcie porządkowanie zebranego gdzieindziej materyału faktycznego. Przynajmniej jest to charakter przeważający w etnografii niemieckiej.

Powyższe słowa nasunęły się nam z powodu nowego dzieła Ryszarda Andree — drugiej seryi *Porównań etnograficznych* *). Autor należy bezwarunkowo do najwybitniejszych i co więcej najsumienniejszych badaczów niemieckich w dziedzinie etnografii. Lecz wszystkie jego prace noszą charakter monograficzny. Wybiera on sobie zwykle nader zacieśnione pole, np. sprawę ludożerstwa, i gromadzi rozproszony w bezpośrednich opisach etnograficznych materyał w zwartą i uporządkowaną całość, układając go przytem zazwyczaj według geograficznego rozsiedlenia ludów. Na tem w większości wypadków poprzestaje; nadaremnie byśmy poszukiwali tu prób ułożenia faktów w jakimś związku genetycznym lub wyjaśnienia ich. Co najwyżej, spotykamy ku końcowi jakąś oddzielną rozprawkę jedynie z uogólnieniem bezpośredniem lub luźną uwagę. Widzimy to i w pierwszej i w drugiej seryi *Porównań etnograficznych*, jako też i w dziełku o *Ludożerstwie*. Z pośród znanych nam prac Andreea jedyny wyjątek stanowi bardzo cenna książka *Metale u ludów pierwotnych*, chociaż także niezupełny. Jednakże, okoliczność ta, odstręczająca ogół od znajomienia się ze wspomnianym badaczem, stanowi ogromną zaletę w oczach specyalistów. Sumienne zebranie materyału ze wskazaniem źródeł, tak, iż w zupełności można mu zaufać, usunięcie drobiazgowe wszelkiej podmiotowości w wykładzie i poprzestanie na roli przedmiotowego uporządkowywacza, wreszcie rozmaitość poruszanych pytań, wszystko to czyni z dzieł jego książki, do których bezustannie trzeba zaglądać przy wielu poszukiwaniach etnograficznych. Łatwo też zrozumieć, iż zebrany przezeń materyał faktyczny bywa obficie przez innych wyzyskiwany, często nawet bez wskazania źródła... Żeby zaś dać czytelnikowi pojęcie o różnorodności pytań poruszanych przez Andreea, podamy zawartość najnowszej jego książki, będącej zresztą zebraniem prac, drukowanych już uprzednio w czasopismach specyalnych. A zatem przed oczami naszemi przesuwa się porównawczy materyał, dotyczący obłąkanych i opętanych, czarów sympatycznych i związku pomiędzy obrazem a przedmiotem, pieniędzy dawanych nieboszczykowi do trumny, strzałek piorunowych i przesądów myśliwskich; w dalszym ciągu autor przedstawia nam w oświetleniu porównawczem sposoby wypowiadania uczuć, sztukę rysunku u ludów pierwotnych, gry, i maski, oraz zwyczaj obrzezania; wreszcie to samo czyni dla kilku kwestyj antropologicznych (woń plemienna, witanie się nosem, używanie nogi dla chwytania, albinizm, rude włosy). Podobnie bogatą pod względem treści jest też serya pierwsza, która ukazała się w druku przed laty dziesięciu.

Zanim przystąpimy do zdania sprawy z niektórych poszukiwań badacza niemieckiego, musimy wskazać czytelnikowi fakt bardzo znamienny, mianowicie tę jednolitość, którą spostrzegamy w działalności i twórczości umysłowej wśród najodleglejszych od siebie geograficznie i rasowo szczepów rodu ludzkiego. Przyjrzyjmy się chociażby materyałowi, nagromadzonemu przez Andreea w drobnym szkicu: „Obraz gubi duszę.“ Otóż na różnych punktach globu spotykamy wiarę, iż posiadanie czyjegoś obrazu daje właścicielowi władzę nad „duszą“ odrysowanego. Jeszcze obecnie panuje odpowiedni przesąd w Szkocyi, dochodzący do mniemania, że fotografowanie może pociągnąć skutki bardzo fatalne. Kiedy podróżnik Kane zdejmował portret wodza jednego z plemion czerwonoskórych, ten ostatni dopytywał się, czy czasem nie przyprawi go to o śmierć. Dla zaspokojenia anglik dał mu nieco tytoniu; indyanin zauważył, iż otrzymał za mało wobec tego, iż naraża swe życie. W kilka dni później znowu przyszedł, prosząc usilnie o zniszczenie obrazu... Thompson odfotografował w środkowej Afryce kilku murzynów; lecz kiedy pokazał im portrety, doszli do przekonania, iż jest to czarodziej, który chce zdobyć władzę nad ich duszami. Chińczycy znowu z prowincyj środkowych sądzą, że fotografowanie pozbawi ich szczęścia w dalszem życiu. To, cośmy tu wykazali na drobną skalę, widzimy wśród ludzkości w olbrzymich rozmiarach. Czy to weźmiemy zabawki używane przez dzieci lub gry dorosłych, czy zapatrywania na epileptyków i obłąkanych albo przesądy myśliwskie, czy wreszcie zwyczaje pogrzebowe, jak dawanie trupowi pieniędzy, zawsze spotykamy tę samą jednolitość objawów i bodźców. W ten sposób jeden lud, daleki, może dostarczać klucza ku zrozumieniu zaciemnionej już przeszłości drugiego, kiedy różne obrzędy i zapatrywania z postępem zostaną zatarte i wystąpią w postaci szczątkowej, jak np. istniejące u nas przekonanie, iż nie należy włosów po ostrzyżeniu wyrzucać na dwór, bo ptak je weźmie do gniazda i wywoła ból głowy, lecz trzeba natychmiast spalić. W gruncie jednak rzeczy, był to niegdyś przesąd podobny do istniejących co do zdejmowania portretu. U wszystkich ludów pierwotnych i nawet bardziej posuniętych w cywilizacyi Andree wykazuje istnienie zabobonów, iż, jeżeli ktoś posiędzie jakąś część ciała drugiej osoby, jednocześnie zdobywa władzę mniejszą lub większą szkodzenia jej. Włosy, paznokcie itd. bywają z tego powodu troskliwie niszczone. Świadomość o tem u nas już zupełnie zaniknęła a raczej przybrała zmieniony wygląd — ptak zastąpił czarownika... Zmiana starej religii działa zwłaszcza rozkładająco w tej mierze. Zresztą nie tyle niszczy ona dawne zapatrywania, ile ubiera je w nową szatę. Wiadomo, iż starożytni grecy kładli nieboszczykowi monetę na usta, którą zwali „naulon.“ Otóż na wyspie Naksos ludność tą nazwą chrzci obecnie woskowy krzyżyk, kładziony trupowi w tem samem miejscu. Podobnie indyanie gwatemalscy, nawróceni na wiarę chrześciańską, do nowego kultu wprowadzili obrzędki pogańskie — tańce w maskach zwierzęcych... Podobnych przykładów znajdujemy bardzo wiele w książce Andreea. Podnosimy je z tego powodu, że rzucają one nieco światła na rodowód obrzędków kościelnych i obyczajów chrześciaństwa europejskiego, które znajdują się w podobnym stosunku do nauki swego mistrza i twórcy, apostoła Pawła, jak tańce zwierzęco-religijne chrześcian z Gwatemali do mszy europejskiej. Przytoczony przykład z wyspy Naksosu dostatecznie to uzmysławia.

Wracamy jednakże do książki etnografa niemieckiego. Jakkolwiek byłoby to ciekawem, musimy wszakże wyrzec się szczegółowego streszczania zawartych tu badań, wypadałoby bowiem wtedy zająć wiele numerów *Prawdy*. Zatrzymamy się przeto tylko nad niektórymi szkicami, rozpatrzymy mniej znane kwestye. Do takich należy rozprawka o woni rasowej. Oddzielne grupy rodu ludzkiego odróżniają się niejednakową jakością wydawanych woni, których nie jest wstanie usunąć najstaranniejsze utrzymywanie ciała w czystości. „Przenikliwy odór, jaki można już poczuć w dość znacznem oddaleniu od osady famfamskiej, wśród nieprzewietrzanej atmosfery leśnej dochodzi do niemożliwego natężenia w pobliżu wioski; nieprzyzwyczajony wchodzi do osady z kaszlem“— powiada o jednem plemieniu murzyńskiem pewien podróżnik. Niektórzy woń tę przyrównywają do kożlego potu. Podobnie szczególną, lecz już odmienną wonią cechują się i inne grupy, a między niemi też europejska. Same zmysły powonienia są niejednakowo rozwinięte u pojedynczych szczepów. Zdarza się, że dzicy z archipelagu filipińskiego mogą powonieniem wskazać, do którego z europejczyków należy podana im chustka. Na tej zdolności opiera się bardzo upowszechniony w niektórych okolicach globu ziemskiego sposób witania, polegający wprost na wzajemnem obwąchiwaniu się, jak u zwierząt. „Dziwnie się całują — powiada Lewin o pewnem górskiem plemieniu indochińskiem; — zamiast przyciskania ust do ust, kładą usta i nos na czyjeś wargi i sil-

*) *Ethnographische Parallelen und Vergleiche.*

nie wciągają oddech. W ich języku, zamiast pocałuj mnie, mówi się: obwąchaj mnie." A jednakże ten czysto zwierzęcy sposób powitania ciągnie się od Laponii w Europie, z niejakiemi przerwami, aż do Grenlandyi wzdłuż wybrzeży północnych i następnie od półwyspu indo-chińskiego aż do wyspy Wielkanocnej po przez cały świat wysp i archipelagów leżących w środku. Jeszcze na szerszych terytoryach rozsiadł się inny zwyczaj: obrzezania. Według obliczeń Andreea jest on w użyciu u 200 milionów ludzi, co stanowi przecież mniej więcej aż jedną siódmą część całego zaludnienia ziemi. Uczony niemiecki nie daje zresztą ostatecznego wyjaśnienia tego obrządku i otwarcie przyznaje się, iż nie jest w stanie tego uczynić w sposób zadawalniający, przyczem wykazuje niedostateczność tłomaczeń dotychczasowych. Należy zauważyć, iż same ludy, zachowując ten zwyczaj, straciły także zupełnie wiedzę o jego powstaniu i zapytywane wprost odpowiadają, że czynią tak, ponieważ w ten sposób przodkowie postępowali, lub wyprowadzają odpowiednią ceremonię z rozkazów boskich. Najprawdopodobniejszem jest, iż wśród odmiennych grup ludzkich powody tego obrządku są różne. Że tu i owdzie mógł powstać z pierwotnego ludożerstwa, o tem nie pozwalają ani na chwilę wątpić fakty, zaczerpnięte z Ameryki środkowej. Tak np. w Yukatanie i Nicaragua krwią, otrzymaną przy obrzezaniu, pokrapiają ciasto kukurydzane, które jest spożywane podczas pewnych uroczystości. W innych znowu razach zwyczaj ów jest równoznaczny z różnemi nacięciami na ciele, wybijaniem zębów i innemi praktykami kaleczenia ciała dla wykazania swego plemienia. Takie znaczenie jest zwłaszcza widocznem wśród szczepu murzyńskiego, gdzie dla wzajemnego odróżnienia się jedne plemiona np. nacinają odpowiednio twarz, drugie zaś sąsiednie używają obrzezania. Jedno tylko można powiedzieć w obecnym stanie nauki, że jeżeli zwyczaj obrzezania przybrał gdziekolwiek charakter religijny, uczynił to stosunkowo późno, kiedy już dostatecznie zakorzenił się wśród odnośnej grupy społeczno-plemiennej.

Równie nadzwyczaj pouczającym jest szkic o pochodzeniu użycia masek. Stosowane są one w najrozmaitszych przypadkach, już podczas praktyk religijnych, już dla zabawy, jak u nas. Lecz w tej ostatniej czynności występują stosunkowo późno — jest to już zadanie pochodne, prawie szczątkowe. Kilka przykładów najlepiej nas pouczy. Dla odwrócenia od dzieci ospy chińczycy sprawiają dla nich w odpowiedni sposób zrobione maski papierowe, nakładane na twarz wieczorem, zwłaszcza w ostatni dzień starego roku, kiedy najwięcej błąkają się pewne złe duchy. Demon ospy zostaje niby odstraszony widokiem poczwary z papieru, mija dziecko i nie wysypuje na nie swego jadu. Murzyni kibokwe wierzą, że sąsiednie lasy roją się mnóstwem złych duchów, wzajemnie nienawidzących się. Jeżeli w tem samem miejscu spotka się jakiś jeden demon z drugim mniej potężnym, ostatni opuszcza tę okolicę i szuka innej, gdzieby mógł panować wszechwładniej. Otóż ludność tubylcza, podejrzywając, że w pobliżu osiadł jakiś szkodliwy duch, wysyła do lasu „przebranego" demona tj. kapłana w masce potężniejszego ducha... Słowem, człowiek pierwotny w masce skrywał swoją niemoc i wierzył, że za jej pomocą może podszyć się pod potęgę jakiegoś wyższego demona i w ten sposób przegnać innych, podobnie szkodliwych, lecz mniej wszechmocnych, odstraszyć ich lub wreszcie oszukać. Z tego pierwotnego źródła rozwijają się różne zastowania masek — przy zaklinaniu i leczeniu choroby, grzebaniu zmarłego, podczas uroczystości religijnych, i wreszcie dla zabaw (zauważymy, że zabawy karnawałowe są prawdopodobnie szczątkową postacią tańców itd. religijnych kultu staroczesnego). Naturalnie, o tem, iżby maski ukazały się pierwiastkowo w jakimś jednym punkcie globu ziemskiego i dopiero stąd drogą zapożyczania wzajemnego miały rozszerzyć się na inne miejscowości, nie może być nawet mowy; jak w wielu innych przypadkach, podobnie i w tym zwyczaj powstawał samoistnie w wielu okolicach, pod wpływem jednakowo postępującego wszędzie rozwoju umysłowego.

Wiemy, iż kilka powyższych szczegółów daje bardzo powierzchowne wyobrażenie o bogactwie materyału, który został nagromadzony przez uczonego niemieckiego w nowej seryi *Porównań etnograficznych*, a tem więcej o jego zasługach. Nie szło nam jednak o wyczerpujące zapoznanie czytelnika z wszystkimi wynikami naukowej działalności Andreea, lecz jedynie o zwrócenie uwagi na to nazwisko, u nas bardzo mało znane, jakkolwiek w zupełności zasługujące na większe uwzględnianie.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

SZTUKA W SŁUŻBIE.

III.

Wyłączywszy szczupłą garść utworów dramatycznych, ukutych w kuźni wielkich talentów, o współczesnej literaturze dramatycznej powiedzieć można to, co Bassanio powiada o swym przyjacielu, Gracyanie:

Rozsądne jego zdania w masie bredni
Są jak dwa ziarna pszeniczne, w dwóch korcach
Plew utajone; szukasz ich dzień cały
Zanim je znajdziesz, a gdy znajdziesz, korzyść
Nie wynagradza trudu. (*Kup. Wen.*).

Oczywiście dwa ziarna po długiem szukaniu znaleźć się muszą, gdyż mózg, nawet, gdy jest własnością komedyopisarza współczesnego, bodaj z nałogu myśl jakąś uroni czasami, jeśli tylko w porę się nie opamięta i nie zastąpi jej *konceptem*. Co to jest koncept? Bassanio powiedziałby, że jest to brednia. Kupiec, przedsiębiorca, wynalazca kosmetyku lub eliksiru leczniczego i pisarz dramatyczny powiedzą nam w zaufaniu, że jest to sposób umiejętnego zareklamowania lichego towaru. Lecz nikt z tych, którzy na ostatnich szpaltach gazety walczą z sobą krzykliwymi anonsami, nie posiada tak obfitych środków reklamy i tak ułatwionego zbytu swoich towarów, jak ten ostatni — pisarz dramatyczny.

Wziąć słomkę, rozszczepioną u końca, i wydąć mydlaną bańkę; dowcipnie składać lub powiedzieć zabawną niedorzeczność; puścić olbrzymią plotkę; spostrzedz, że kura dwóch kogutów jednocześnie miłuje, rozwałkować ten objaw psychologiczny na bezgranicznej przestrzeni lub wydąć go do rozmiarów kuli ziemskiej i tem samem uczynić zależnym od niego byt ludzki; pochwycić molekułę ludzkiego uczucia lub myśli, zetrzeć ją na pyły niedostrzegalne, rozprószyć je w przestrzeni z rozrzedzonem powietrzem i oświetlić prądem elektrycznym — z tego może być komedya, dramat, tragedya, co kto chce i na żądaną cenę. Koncept — towar ten zareklamuje, a zbyt jego na rynku mieszczańskim jest zapewniony.

Shakespeare lub Schiller reklamowali swoje utwory, kładąc w nie uczucie, myśl, wspaniałe obrazy. Rzeczy te są trudne do nabycia. Dla pochwycenia uczuć potrzeba samemu umieć czuć i odważnie patrzeć w głąb ludzkiego ducha; dla pochwycenia myśli potrzeba samemu myśleć i spoglądać na świat umysłów ludzkich nie przez szybę w okienku tej lub owej społecznej klasy, lecz z wysokich szczytów wiedzy. Natomiast dla pochwycenia konceptu potrzeba nieco szarlatanery, sprytu w rozpoznawaniu zachceń płacącej większości społecznej, i niewielkiej dozy spostrzegawczości.

Razu jednego, opowiada anegdota, Sardou był bardzo zasmucony: koncept go opuścił. Gdzie go szukać? Czy wróci jeszcze kiedy? Pełen żalu udał się wielki komedyopisarz do kawiarni i, zasiadłszy przy filiżance czarnej kawy, tęsknie spozierał przez okno na ulicę. Nagle dostrzega jakiś drobny epizod uliczny, psa potrąconego czy przewróconą dorożkę, uderza się dłonią w czoło i zachwycony ucieka. Znalazł koncept. Napisze nową komedyę.

Koncept jest duszą każdego ze współczesnych utworów, a że tyle ma tylko wartości, o ile jest nowy i nieużywany, więc widzimy go pod rozmaitemi postaciami. Bywa on puszką magika, która, na pozór pusta, okazuje się siedliskiem wielu ciekawych rzeczy; jest niewidzialnym gwoździem, u którego wisi kolekcya scenicznych położeń— niema między niemi najmniejszego związku i nie pojmujemy, co je skojarzyło u jednego gwoździa, ale na tem właśnie polega koncept. Bywa on upostaciowaniem zjawisk, faktów, istot— nieprawdopodobnych i nieprawdziwych; wiemy, iż są one takiemi, ale widzimy je upostaciowane, przyglądamy się im na scenie i to nas bawi. Zadaniem konceptu jest wyprowadzić na scenę wiele osób i uwikłać je w zajmującej akcyi, a dalej — zużytkować umiejętnie odrębność scenicznej perspektywy i tej ramki, w której obrazy życia najzwyklejsze nabierają uroku. Na tym punkcie koncept jest niewyczerpany i z pomocą reżyseryi teatralnej prześciga szopkę, panoramę, niknące obrazy i cyrkowe pantominy, gdyż jednoczy w sobie wszystkie ich efekty. Widzimy na scenie akcyę, rozwijającą się z szybkością pociągu błyskawicznego; widzimy, jak gentlemeni łapią ryby; podziwiamy zręczność felczerów, golących brody; uczymy się, jak należy spożywać potrawkę z kurczęcia lub kaszkę na mleku.

Jeśli koncept rodzi się kulawym, wtedy można go podeprzeć tendencyą. W kącie każdego porządnego, mieszczańskiego podwórka znajduje się śmietnik, do którego nikt nie zagląda, gdyż spoczywają tam nieużyteczne śmiecia, lecz właściciel jego musi mieć zawsze pewność, że śmietnik istnieje, a zawartości jego nikt mu nie ukradł. Tylko pisarzowi dramatycznemu wolno jest grzebać w tych gruzach, w które rozpadła się mytologiczna moralność, wycofana z obiegu handlowego i przechowywana na śmietniku. Z jej ułamków, ku uciesze ich posiadacza, ułożony zostaje fundament do komedyi lub dramatu. Nic nie może być pocieszniejszego nad te budowle, przypominające swoim stylem budki dla sprzedaży wody sodowej. Na szczycie ich powiewa chorągiewka, a na niej widnieje napis: nie należy się żenić dla posagu, lecz z miłości, albo: mąż powinien być wiernym żonie, a żona mężowi, albo: nie powinno się zamykać salonu dla ludzi niższego pochodzenia, zwłaszcza jeśli są bogaci, lub tym podobne nieszkodliwe sentencye, które nikomu nie przeszkadzają ożenić się dla posagu lub wynająć serce wielu lokatorom. Koncept bawi mieszczucha, tendencya uspokaja jego stroskane sumienie, jest dlań łatwą i przyjemną pokutą za grzechy nieuniknione i wiecznie powtarzano, a jeśli go obarcza ciężkimi zarzutami wtedy stanowi lekką i miłą emocyę.

Tendencya i koncept nie stanowią jeszcze utworu dramatycznego. Pierwsza jest sukienką, na miarę której wykraiwa się treść życiowa, w potrzebie fałszowana, drugi jest cementem, spajającym luźne obserwacye lub fantastyczne urojenia autorskie. Z jakiegoż źródła pisarze dramatyczni czerpią treść życiową dla swych utworów, w jakiej

sferze zbierają spostrzeżenia i na jakiem tle rozpinają widziadła swej fantazyi?

Od chwili, kiedy utwór przezwany komedyą, dramatem, tragedyą, wreszcie farsą lub krotochwilą wkluczony zostaje do repertuaru rozrywek mieszczańskich— odpowiedź jest łatwa. Treść jego nigdy nie może wybiegać za sferę zrozumiałą dla tych, dla kogo jest przeznaczony, to jest za sferę mieszczańską. Żadna z klas, które historya powoływała do życia, nie była tak niewolniczo portretowana, jak mieszczaństwo, gdyż żadna z nich nie była tak ślepo zakochana w sobie i nie wyznawała kultu dla samej siebie. Żadna z nich nie wpadła na myśl by z całej gałęzi literatury urządzić aparat fotograficzny dla kopiowania widoczków swego życia, które mają przekonać świat, iż stał się on mieszczańskim, i żadna nie miała mniej praw do zarozumiałości. Jeśli sądzić tę klasę tylko z pochlebionego jej portretu, jakim jest współczesna literatura dramatyczna, to przyznać wypadnie, iż żaden z wyprowadzonych przez historyę aktorów nie był tak po macoszemu przez nią wyposażony, jak ten, który na wszechświatowej scenie odgrywa dzisiaj lichą farsę. W kieszeni posiada on wiele złota, ale myśli i uczucia jego nietylko z kruszcu nie są, lecz nawet jak próchno nie świecą; daremnie więc szukalibyśmy głośnych i przejmujących dźwięków i świetnych barw w tem, co z piosnki i obrazków jego życia przechodzi do utworu dramatycznego.

Nic bardziej jednostajnego być nie może nad ową piosnkę, w której nieustannie powtarzają się jedne i te same zwrotki nikłych uczuć i echa drobnemi kropelkami ściekających myśli; nic bardziej szarego nad pasma obrazków mieszczańskich, w których żywsze barwy są wykluczone, gdyż rażą oczy. Jedyną weselszą nutą w tej smutnej melodyi, jedyną jaśniejszą i śmielszą barwą w szarej przędzy życia jest miłość, naturalnie miłość *sui generis*, zasadzona na grucie, na którym wszelkie rośliny się przyjmują, lecz wszystkie wyrastają koszlawo i karłowato. Nie jest to miłość ta, która ślad niestarty zostawiła w historyi i była jej duchem, jest to współczesny skandal miłosny, apoteoza płciowego stosunku, sztuczne spotęgowanie pospolitych, mniej lub więcej brudnych spaczeń uczucia do rozmiarów ważnych zagadnień etycznych, rozstrzygających o szczęściu lub nieszczęściu ludzi.

Pisarze dramatyczni dostrzegają to tylko, co boli, udręcza lub cieszy mieszczaństwo, i obawiają się poszukiwać iskier myśli i płomienia uczuć u innych ognisk społecznych, gdyż takie poszukiwania zaprowadzić by ich mogły na szlaki, wstecz gustom mieszczaństwa biegnące. Często więc, kiedy koncept ulatuje w jakieś sfery niedościgłe, nie znajdują oni w korytku współczesnego życia treści dla „sztuki.“ Wtedy zanurzają ręce w mule klasycyzmu i grzebią w nim tak uporczywie, póki jakiś zgubiony atom złota do palców ich nie przylgnie, poczem robią tragedyę wierszem lub prozą i umieszczają w niej znaleziony atom złota wraz z szaflikiem mułu. Niestety, wchodząc do katakumby klasycznej, między cienie greków lub rzymian, zapominają fotografowie mieszczaństwa o zdjęciu współczesnego rynsztunku, nie rozzuwają się ze swych zabłoconych kamaszków i nie wypuszczają z dłoni numeru brukowej gazetki, opisującej wiele strasznych wypadków. Umysły ich tak szczelnie są wylepione obrazkami współczesnego życia, jak skrzynki sług naszych ilustracyami wyciętemi z czasopism. Wszedłszy do grobów przeszłości, patetycznie przywołują oni jej ducha i pierwszą pochwyconą marę rozpinają na płótnie jednego z tych obrazków, na których nie obeschły jeszcze farby, dłonią mieszczańskiego otoczenia nałożone. I oto z pod pędzla ich na jakiemś szarem tle wyrastają postacie znajomych nam mieszczek i mieszczan, obwinięte fałdzistemi zwojami togi, chitonu czy chlamidy, z pod których przeglądają ich pękate kształty. W przebiegu maryonetkowej tragedyi przed oczami naszemi snują się te cienie, dręczące siebie i widza daremnem swem usiłowaniem pochwycenia myśli i uczuć zbyt wielkich i niedościgłych dla nich. Niemoc swoją maskują kłamliwą ekstazą, udanem bohaterstwem, namiętnością hałaśliwą, jak pusta beczka, toczona po bruku. Ich mowa jest suchym szkieletem, oblepionym napuszonemi piórkami frazesu.

Lecz taka właśnie mowa i taki maskaradowy widok zastosowane są ściśle do upodobań mieszczaństwa. Ono wymaga przedewszystkiem oglądania swego konterfektu i nie dba, w jakie szaty artysta go oblecze. Mniejsza o to czy na scenie wystawiony jest melodramat ludowy, tragedya klasyczna lub dramat współczesny, niech po deskach jej chodzą chłopi, bogowie, patrycyuszowie, rycerze, arystokraci, księża, byle tylko w mowie ich, w twarzach, uczuciach, myślach, postępkach mieszczaństwo odgadnąć mogło siebie samo. Widz wymaga, by wszystko to, co pokazują mu na scenie, nie wybiegało zbyt wysoko nad poziom jego płaskiego ducha, żeby nie potrzebował zadzierać głowy, śledząc lot myśli, żeby struny uczucia nie drgały w nim zbyt gwałtownie, zamącając spokój trawienia. Wymaga, żeby, spoglądając na obrazki sceniczne, nie potrzebował rozstawać się ze sferą swych krewnych i znajomych, żeby ten sam nikły strumyk życia, który płytkiem i uregulowanem korytem unosi go do bram zbawienia, przepływał przed nim na scenie, lecz by brzegi jego ozdobione były akcesoryami piękna. Służalcem jego kaprysów stał się w dobie współczesnej — talent, Benjamin ducha ludzkiego, nić złota, opuszczona ze świata nieśmiertelnych na szarą, piaszczystą wydmę, zaludnioną przez ludzi.

Cała rzesza helotów literackich dźwiga ciężkie więzy, któremi zachcenia większości społecznej opasały ich talenty. Niewola ta jednak jest dobrowolna i na szali autorskich wyrachowań urównoważona słodyczą doczesnej sławy. Zachęceni nią pisarze dramatyczni wybadali dokładnie puls życia owej większości, zapoznali się ze skalą ich umysłowych i estetycznych potrzeb, wymierzyli głębokość jej uczuć i rozległość widnokręgu, za który nie sięgają jej myśli, rozgrzebali śmietnik sankcyonowanych przez nią haseł moralnych, i według tych danych wykrajali szablon, który zapełniają widoczkami życia mieszczańskiego. Dziesiątki umysłów prześciga się w pogoni za konceptem, wydziera sobie szmatki tendencyj, wyławia drobinki uczuć i myśli, klei je, maluje, rozwałkowywa i z fabrycznym pośpiechem zestawia w kunsztowne gmachy. W robocie tej, nazwanej sztuką dramatyczną, talent zespolił się z przedsiębiorstwem mieszczańskiej zabawy i u grobu literatury dramatycznej wystawia budynki współczesnej komedyi i dramatu tyle trwałe, co i zachcenia mieszczańskiej społeczności, która powołała je do życia, a twórców wieńczy sławą.

U nas nie jest lepiej, ani gorzej, niż gdzieindziej. Prąd dziejowy nie ominął płaszczyzny naszego życia i osadził na niej muł swój, mało sprzyjający rozwojowi ducha. Wyrosła na nim natomiast bujnie i zakwitła sztuka dramatyczna, przeznaczona dla rozrywki jednej tylko klasy społecznej i niemająca związku z literaturą. Dla utworów, objętych tą sztuką, istnieje u nas szablon niewiele odmienny od używanych gdzieindziej i obowiązujący dla pisarzów, między nimi zaś znajdują się jak i gdzieindziej talenty, a obok nich zwyczajni przedsiębiorcy, którzy, dmuchając w fujarkę mieszczańskich upodobań, zbierają zyski i sławę.

(D. n.).

F. G. Brodowski.

LITERATURA RUSKA.

Szczedryn (Michał Sałtykow).

II.

Postacie i obrazy.

Twórczość Szczedryna można rozdzielić na dwie epoki: satyra, dotykająca stosunków i urządzeń, które już należą do przeszłości i satyra zajmująca się obecnym stanem rzeczy. Prace z pierwszego okresu nie straciły jednak wcale na wartości, chociaż mają już znaczenie historyczne. Zresztą przeszłość owa tak jest niedawną, że jeszcze nie zdołała zatrzeć się w pamięci nawet ludzi należących do młodszego pokolenia. Uwzględnimy tu więcej utwory współczesne. Zdobywszy ogromną sławę i popularność takimi utworami, jak *Szkice gubernialne*, *Zagmatwana sprawa* i inne, autor pomimo wieku i długoletniej pracy, wcale nie osłabł i w ostatniej dobie wystąpił z bogatą galeryą typów i obrazów w *Listach do ciotki*, *Drobiazgach życia*, *Bajkach*, *Pstrych listach*, i nawet *Poszechońskiej Starynie*, ostatniej pracy, przy której śmierć go zaskoczyła.

Rozpatrzmy kilka typów, wykrojonych z bardzo świeżej jeszcze przeszłości. Wybitne miejsce zajmuje Dierunow, a prawda musi być w nim wielka, skoro śród tłumów staje się przysłowiowym. Rozpoczyna swoją karyerę jeszcze za czasów pańszczyźnianych, pierwszym zaś krokiem jego było podminowanie brata, którego zdołał pozbawić dziedzictwa w sposób „szlachetny.“ Jest on zawsze gotów na usługi szlachty i włościan; od pierwszych kupuje grunt, na którym ci nie umieją gospodarować, bierze w dzierżawę gorzelnie, również z tych samych pobudek. Ostatnich wybawia nieraz z ciężkiego kłopotu: nabywa od nich zboże, „bez którego mogą jako tako się wyżywić,“ skupuje bydło. Jednym i drugim płaci naturalnie bardzo tanio. Wolno im przecież tanio sprzedawać; prawem zaś nabywcy jest: „korzystać z okoliczności.“ „Ja nie rujnuję — tłomaczy się Dierunow — tylko *poszukuję*. Jeśli zauważę, że kto z nich nie posiada siły, biorę go do roboty...“ A oto obraz zabiegów tego spekulanta-wyzyskiwacza: „Na podatki trzeba, wiozą do mnie zboże. Bardzo to jest wygodna operacya. Bydło również dobrze jest nabywać. Przychodzi przednówek, wyczerpie się karm, a tu zaległości podatkowe. W to mi graj! Za bezcen skupuję całe stada...“ Dierunow nietylko *korzysta* z okoliczności, ale i *urządza je*. Włościanie nie chcą mu sprzedawać zboża po bardzo nizkich cenach, ale w końcu muszą je oddać jeszcze taniej, okazuje się bowiem, że Dierunow umiejętnie rozstawił sieci, rozesłał wszędzie swoich agentów, słowem przygniótł całą okolicę monopolem. Umie on się tłomaczyć w razie potrzeby: „A mnie na co to zboże potrzebne? Czy sam zjem? Armię utrzymam!“... Charakterystyczny jest wyjątek z jego rozmowy z obywatelem: „My tu żyjemy w ciszy, każdy przy swojej pracy... Czytań żadnych niema u nas w zwyczaju. Względem trunków — pobłażliwie, względem zaś czytania — surowo. Jeśli bez korzyści czytać, to od tego nawet rozsądek cierpi, złe myśli przychodzą, szacunek dla starszych się traci...“ Kto śledzi dokładnie wszelkie zmiany urządzeń społecznych, dostrzeże w wielu razach dobroczynny wpływ Sałtykowa. Rzucał on nieraz promienie w krainy ciemności... Ileżby się dało powiedzieć ciekawych rzeczy o innych „filarach“ z dalszych szkiców! Parnaczew, Razuwajew, Gracyonow, Tierpibiedow, Progoriełow, wszystko to są postacie, które również stały się przysłowiowemi... Progoriełow nosi na sumieniu swem grzechy przeszłości, sam się nazywa „człowiekiem zgubionym.“ Ma on, jak wielu doń podobnych, swego rodzaju zasady moralne: na

pierwszym planie formalizm; to, co nie jest prawem wzbronione, powinno być tolerowane. „Ty, jako „prawnik“ — mówi do jednego z *filarów* — jasno rozumiesz, z czego masz prawo skorzystać, ale człowiek zwyczajny we wszystkiem jest niepewny. Jako prawnik, ty go przekonywasz: wszystkie terminy opuściłeś, nie skarżyłeś się, któż winien, żeś gapa? A on na to: gdzież to słyszane na świecie, ażeby jakiemiś wykrętami odbierać mi moje?..“

Zadługo byśmy się zatrzymali na jednym przedmiocie, gdybyśmy chcieli choć pobieżnie przejrzeć wszystkie Szczedrynowskie postacie Dierunowów z rozmaitych sfer. W drobnych i większych obrazach tego pisarza przesuwają się szeregi różnobarwne: „ludzi kultury,“ „kurojadów“ czyli „kurołapów.“ Jest kurojad-psycholog i kurojad-polityk, kurojad zajmujący się oceną przekonań, wydający świadectwo konduity. Taka działalność nie jest zbyt łatwą; trzeba posiadać sztukę „sercoznawstwa.“ Stąd pojawiły się zastępy sercoznawców, ich pomocników i aplikantów. Lęka się ich jak ognia obywatel, bo ich zadaniem jest korzystać z prawa konieczności i warunków przyjaznych. „Ludzie kultury“ są rozmaici; jedni nic mają nic wspólnego z postępem, ale zdolni i gotowi pracować na wsi nietylko dla własnej korzyści, ten i ów myśli o losach masy. Wszystkie typy Szczedrynowskie t. zw. „filarów,“ mają tę ogromną zaletę, iż mówią bardzo wiele w krótkich słowach; stąd stały się one tak popularnymi w społeczeństwie ruskiem. Niema warstwy społecznej, w którąby Szczedryn nie zajrzał i nie przeniknął jej najgłębszych tajników. Ze sfer urzędniczych wystawił on również bogatą galeryę obrazów z mnóstwem znamiennych postaci. Są one tak ściśle związane z szerszymi warunkami bytu, że oglądać szczegółowo same tylko typy bez tła, byłoby niewłaściwem. Życiu rodzinnemu autor poświęcił sporo szkiców, ale te nie budzą szerszego interesu.

Ciekawy jest stosunek znakomitego satyryka do literatury i dziennikarstwa. „Namiętnie i wyłącznie przywiązany jestem do literatury — powiada on. Zawdzięczam jej wszystkie lepsze chwile mego życia, wszystkie słodkie wzruszenia i uciechy... Literatura jest dla mnie bardzo droga, gdyż w niej od dzieciństwa były skupione wszystkie moje nadzieje; ona dała mi więcej, niż wart byłem. Cały proces życiowy tego zamkniętego zrządzeniem losów świata, był moim osobistym procesem życiowym; jego bezbronność — moją bezbronnością, jego męczarnie — moją męczarnią.“ Uwielbia ją i jej ideał sławi po nad wszystko: „Literatura nie umrze nigdy! Ona wiecznie żyć będzie w zabytkach przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nic tak blizko nie dotyka idei wieczności, nic jej tak nie rozświetla, jak pojęcie o literaturze... Społeczeństwo, nie posiadające literatury, nie jest społeczeństwem, tylko bezladną gromadą jednostek. Kraina, pozbawiona literatury, stoi po za ogólnym związkiem wszechświatowym... Gdyby nie było literatury, jedynego punktu zbornego, w którym myśl ludzka może zostawić ślad trwały, chodzilibyśmy teraz na czworakach, obrośnięci szerścią, pilibyśmy wodę błotną, żywilibyśmy się surowem zielem i szarańczą... Wszystkie wiadomości, które posiadamy, dała nam literatura; pojęcia, sądy, prawa, wszystko, czem się kierujemy w życiu, jest wyrobione przez nią. Bez literatury nie istniałoby ani malarstwo, ani muzyka, ani sztuki piękne wogóle, gdyż ona wszystko rozebrała, i światło i kolor, i zarazem wszystko złączyła. Literatura jedna tylko ma dar skupiać wszystkich pod swemi skrzydłami.“

Zdanie Szczedryna pozornie zgadza się w tym względzie ze zdaniem Zoli: „Realny i istotny wpływ — powiada ten ostatni — należy wyłącznie do myśli pisanej; wszystko w niej się łączy. Reszta — czcza próżność, chwilowe obrazy, wiatrem rozpraszane.“ Przy pozornem podobieństwie jest jednak ogromna różnica w poglądach tych dwóch pisarzów; Zola schyla czoło przed myślą pisaną nie jako przed środkiem rozwoju i postępu, tylko jako przed artyzmem, potężnym pięknością. Kult tej myśli ma dlań jeszcze inny urok; otacza autora aureolą; podnosząc literaturę, pisarz sam się wzbija po nad tłumy i myśl jego jest dlań celem, a nie środkiem. Co innego wyznaje Szczedryn. Dla niego literatura — to potężny czynnik kultury, środek poruszający masy. „Literatura ma prawo dopuszczać się omyłek, gdyż ona także je prostuje. Błędy te są podkładem pracy, która w rezultacie prawdę przynosi. Prawda, to nie skarb, przypadkiem znaleziony w polu, nie bolid, spadły z nieba; zdobywać ją trzeba kosztem wielkich ofiar i wysiłków, kosztem *błędów*.“ W satyrze Szczedrynowskiej nie można dopatrzeć ani pychy, ani pogardy dla mas; on cierpi cierpieniem całego społeczeństwa. Jakże są przesiąknięte żółcią jego obrazy stanu piśmiennictwa! Tem więcej one warte, iż mają znaczenie ogólniejsze. W wielu swoich utworach wracał do ukochanego przez się przedmiotu, malując smutne obrazki rozdźwięków w literaturze. Tu spotykamy nowe typy, jak „tryumfująca świnia,“ dalej widzimy *ludum palustre* (czyż go i u nas niema!?). Świnia nietylko bada prawdę, ale drwi z niej, pożera ją z głośnem mlaskaniem. W jedenastym „liście do ciotki“ spotykamy nowe *ludum palustre*. Nozdrew zakłada pismo pod tytułem *Pomyje*. „Mnie nikt ust nie zamknie! — powiada do końca wieków mówić będę.“ Więc zasadzie wierny, bryzga bezustanie. „Dziennikarstwo — twierdzi on — jest to pole dla wszystkich otwarte, gdzie każdy może swobodnie usprawiedliwić się, robić zarzuty i nawet szkalować. Bez tego *żywa* gazeta istnieć nie może.“ Nozdrew do tego stopnia się wynurzył, że nawet niema skąd dostać listka winogronowego dla pokrycia swej nagości w razie ostatecznym.

Szczedryn w większości swych prac jest pisarzem czysto ruskim, dlatego w całości nie nadaje się nawet do przekładu, z wyjątkiem nielicznych szkiców, mających charakter ogólniejszy. W jędrnych i dosadnych swych wyrażeniach stworzył on bogatą terminologię, zastosowaną do rozmaitych wad ludzkich, a zrozumiałą tylko dla ukształconych warstw społeczeństwa ruskiego.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Znowu proces z nieboszczykiem. — Zapis generała O. Augustynowicza i chęć pogwałcenia jego woli. — Skutek prośby wuja z grobu. — Szczególna odwaga i szczególne pobłażanie. — Zwodny ognik nadziei na bagnie Muzeum pszczelniczego. — Sprawozdanie komisyi ratunkowej. — Jedyna droga wyjścia z błędnego koła. — Projekt d-ra Fritschego opodatkowania loteryi na korzyść szpitali.—Potrzeba zajrzenia wich biedne wnętrze.

W epoce bardzo pomysłowej jest dosyć dziwnem, że dotąd nie wynaleziono sposobu ubezpieczenia testamentów, zawierających legaty dobroczynne przeciwko krewniakom, usiłującym je obalić i ofiarę społeczeństwu złożoną do swojej kieszeni przelać. Odpowie mi ktoś, że kodeks takie sposoby podaje, ale naprzód nieraz trudno tak obwarować się jego paragrafami, ażeby między nimi nie pozostała jakaś szpara nieformalności, przez którą przecisną się kuzynkowie nieboszczyka ze swemi pretensyami a powtóre, trudno wymagać od każdego człowieka, ażeby on spisując swoją ostatnią wolę, przewidywał wszystkie wybiegi, które ją łamać będą. Formalnie, nikt nie może, nawet po śmierci, tłomaczyć się nieznajomością prawa i musi poddać się jej skutkom, ale sądząc po ludzku, niepodobna tego wymagania stosować bezwzględnie. Kto wie np., że nie wolno w testamentach używać t. z. substytucyi, tj. podstawiania osób trzecich jako rozporządzających legatami na korzyść celów ściśle określonych! Kto nie jest prawnikiem, ten przy rozdziale spadku po sobie o takim zakazie nie myśli.

Przed trzema laty umarł w Petersburgu człowiek niezmiernie zacny, który i za pośrednictwem naszej redakcyi wspierał wielokrotnie i hojnie biednych wszelkiego rodzaju, a zwłaszcza młodzież szkolną — dymisyonowany generał O. Augustynowicz. Obdzieliwszy w testamencie rodzinę i służących, znaczną część swego majątku przeznaczył na użytek dobra powszechnego: ustanowił stypendya przy Towarzystwie dobroczynności w Warszawie i Petersburgu dla uczącej się młodzieży wyznania katolickiego, zasilił Kasę Mianowskiego, resztę zaś mienia ofiarował na cele dobroczynne, naukowe i pedagogiczne w Kraju Zachodnim, Ks. Poznańskiem, Prusiech zachodnich, Szląsku i Galicyi. Wykonawcy jego woli: pp. Włodzimierz i Cypryan Spasowicze, E. Borszczew, J. Adamowicz i (zmarły) K. Jarochowski otrzymali w liście wskazówki, jak mają wykonać ostatni punkt testamentu. Przy legacie dla swego siostrzeńca, Bolesława Polanowskiego, nieboszczyk pomieścił następującą uwagę: „Mam nadzieję, że siostrzeniec mój, otrzymawszy ukształcenie techniczne i odpowiedni temuż stopień, mogąc więc zapewnić sobie byt własną pracą, tak jak my z nieboszczką żoną zapewniliśmy sobie, nie będzie szemrał na to, że skromne owoce pracy i oszczędności całego naszego życia przeznaczam teraz głównie na wspomożenie bardziej potrzebujących krewnych i na sprawy użyteczności publicznej.“ Posłuchał zacnego wuja siostrzeniec i wystąpił do sądu z żądaniem unieważnienia testamentu w tej jego części, która zawierała substytucyę. Chodziło o sumę 57,425 rs. Umarłego bronił p. Spasowicz. Sąd okręgowy petersburski skargę żywego oddalił i skazał go na koszta sądowe. Niech się święcą takie wyroki. Doprawdy, wolałbym okraść człowieka żywego, niż wydrzeć pieniądze ofiarne umarłemu, gdyż w pierwszym wypadku pokrzywdzony mógłby mnie ścigać, procesować, do więzienia wsadzić, stratę odzyskać; ale co zrobi umarły? On już jest pozbawiony wszelkich środków do walki. Niewiele jest myśli okropniejszych nad wyobrażenie sobie z jednej strony człowieka, który pracą i oszczędnością zbiera pewne mienie po to, ażeby je darować społeczeństwu, który żyje miłością dobra ogólnego, który w sercu swojem piastuje długo uczucie tej ofiary, z drugiej zaś człowieka, który mu zabiera to wszystko, korzystając z prawnej omyłki. Czyż taki spadkobierca nie zadaje sobie pytania: co by o mnie i o moim postępku rzekł ten poczciwy krewniak, gdyby zmartwychwstał? Czy mogę przypuścić, że on dałby mi te pieniądze, które chcę mu zabrać? Ponieważ zaś tu odpowiedź sumienia jest tylko jedna, to zaiste trzeba podziwiać tych, których ona nie przerazi i od procesowania zmarłych nie odstraszy. Ale opinia publiczna nie powinna wobec tego rodzaju wypadków poprzestać jedynie na podziwie, lecz obciążyć ją wyraźną naganą a przedewszystkiem uświadomić sobie jasno istotę moralną takich czynów. Niema wymowniejszego dowodu bezmyślności społecznej nad pobłażanie im. Ogół, który zaciekle i niemiłosiernie potępia oberwanie gruszek w cudzym ogrodzie a z ironicznym uśmiechem przypatruje się gwałceniu testamentów publicznych i wy-

dzieraniu mu ofiar, jest dziwolągiem z pomieszanemi pojęciami etycznemi.

Że pewien zamęt panuje w pojęciach ekonomicznych wielogłowej spółki Muzeum pszczelniczego — to nie ulega wątpliwości. Jej nowa administracya, podjąwszy Herkulesową pracę utrzymania instytucyi, którą z jednej strony wywracał p. Lewicki, a z drugiej — podkopywał ks. Ambrożewicz, zwołała przed tygodniem walne zebranie uczestników, na którem przedstawiła pomyślny wynik swych zabiegów: przewyżka aktywów nad pasywami wynosi rubli 870, wykonano obstalunków z dawnego bezładu i bezrządu za rs. 246, wypłacono pensyj zaległych 180 rs.; Muzeum posiada towaru gotowego za rs. 657, należności — 568 rs., zamówień na 604 rs. itd. Łatwo objaśnić sobie psychologicznie ten fakt, że uczestnicy, którzy dotychczas na każdem zgromadzeniu słyszeli tylko o stratach, długach i marnotrawstwie, dowiedziawszy się o zaprowadzonym ładzie, postępie i drobnych zyskach, uczuli radość w sercach i niektórzy z nich gotowi byli nawet roić o pięknych dniach Aranjuezu w przyszłości. Niestety, trzeźwe zastanowienie rozwiewa marę pustynną. Mogą uczestnicy spółki Muzeum łudzić się, że w niem ciągle tkwi ten kapitał, który oni weń włożyli, rzeczywistość jednak po ścisłem obliczeniu przekonywa, że on stopniał do skromnej wartości — ubogich sprzętów i firmy. Ponieważ zaś instytucya, pomimo swego pożytku dla kraju, nie jest i nie może być dobroczynną, lecz przemysłowo-handlową, więc pozostanie nadal wcieleniem fikcyjnego kapitału, własnością gromady ludzi, którzy nie będą mieli z niej w obecnym stanie żadnych zysków, a nowymi nakładami, po smutnych doświadczeniach jej nie zasilą, wreszcie będzie ona obywatelsko podjętym kłopotem kilku ludzi dobrej woli, którzy trwale i ofiarnie dźwigać jej nie zechcą. W takich warunkach nie rozwinie się ona nigdy. Jest bowiem podobną do wozu, który ugrzązł i który kilku miłosiernych przechodniów wydobywa z błota, ale nie myśli ciągnąć stale. Wyobraźmy więc sobie taką, dość prawdopodobną możliwość: po pewnym czasie pp. Chrapowicki, Dobrowolski i Frąckiewicz powiadają uczestnikom: spełniliśmy nasze zadanie, spłaciliśmy długi, wykonaliśmy zaległe obstalunki, mamy nowe, mamy uczniów w szkole, teraz panowie prowadźcie przedsięwzięcie sami, bo my dalej poświęcać się nie możemy. Wtedy albo spółka zdobędzie się na nowych ochotników do zarządu, albo porzuci interes, albo zechce go traktować ekonomicznie. W tym ostatnim wypadku szybko się przekona, że dla setki a nawet dla kilkudziesięciu ludzi nie przedstawia on wartości, że jako cel stowarzyszenia, gospodarować w nim nie może. Czy więc nie byłoby lepiej stanąć odrazu na tym punkcie, którego ominąć niepodobna? Według mnie jest tu tylko jedno wyjście z tego błędnego koła: uznać nakład za stracony w całości lub w znacznej części i darować lub odstąpić Muzeum za zniżoną do minimum cenę jednemu odpowiednio uzdolnionemu człowiekowi lub spółce z kilku ludzi przedstawiających rękojmię rozwoju i pomyślnego działania instytucyi. Niech ono dla nich stanie się warsztatem pracy zarobkowej a dla kraju—instytucyą pożyteczną. Jeżeli uczestnicy obecnej, wielogłowej spółki tego wyjścia nie widzą, jeżeli wierzą w istnienie i odzyskanie swych dziesiątków tysięcy rubli, jeżeli ufają swym bezwartościowym akcyom i spodziewają się od nich dywidendy — to mo cno ich żałuję, zwłaszcza że gruzami swych rozczarowań niewątpliwie przygniotą budowę, którąby utrzymać pragnęli. Ważę się na tę przepowiednię bez obawy, ażebym potrzebował ją odwoływać, a omylić się chciałbym szczerze.

Dr. Fritsche, redaktor *Medycyny*, jeden z najbardziej pomysłowych doradców w sprawach lekarsko-społecznych, rzucił myśl opodatkowania biletów loteryjnych na korzyść szpitali — tych przybytków nietylko choroby, ale i nędzy. Myśl ta jest dobrą i słuszną, ale w czasie przelotu przez pisma podcięto jej skrzydła przypomnieniem, że już dawniej raz ujrzała świat, ale musiała upaść jako niepraktyczna i nieuznana przez odnośną władzę. Fakt ten wszakże nie przemawia przeciwko niej, gdyż od lat kilku namiętność do gry w loteryę olbrzymio wzrosła a popyt na losy tak się spotęgował, że opodatkowanie ich nawet znaczne dałoby dochód niezawodny. Wszyscy pamiętamy niedawne lata, kiedy żydkowie napraszali się ze sprzedażą biletów, jak ze sprzedażą arbuzów; dziś publiczność dla zdobycia kartek szczęścia oblega kantory, łamie sobie żebra w tłoku, nie żałuje bohaterskich poświęceń, a nawet kosztów. Opłaciłaby więc podwyżkę ich ceny z tą samą gotowością, z jaką dziś, wyzyskiwana przez kolektorów, opłaca za nich pierwsze klasy ciągnienia. Byłby to pieniądz tak niezawodny, jak kupon od Listów Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Czemuż go więc nie wyczerpać dla instytucyj pierwszorzędnej wartości społecznej a ostatniorzędnej doli? Opodatkowywać pracę — boleśnie, ale zbytek, grę, spekulujące próżniactwo można i należy wyzyskiwać na rzecz biednych i nieszczęśliwych. Projekt więc d-ra Fritschego wydaje mi się rozumnym i sprawiedliwym. Przeciwstawiono mu inny: ściąganie drobnych danin od aktów sporządzanych w urzędach stanu cywilnego. Tyle niedostatku, tyle biedy czeka na litość w szpitalach naszych, że i na ten pomysł zgodzilibyśmy się, aby tylko z niego tryslo dla nich źródło zasiłku. Gdyby nasi lekarze szpitalni opowiedzieli ogółowi z katedry publicznej lub w kolumnach pism poczytnych to, co opowiadają prywatnie, gdyby wogóle jakąkolwiek drogą wyszła z murów i stanęła na widoku publicznym ta niedola, o której większość ludzi nie ma najmniejszego wyobrażenia, wszyscy zrozumieliby potrzebę opodatkowania czy loteryi, czy aktów stanu cywilnego, czy wreszcie serc miłosiernych, ażeby w jednym szpitalu sprawić stół marmurowy dla operacyj, w drugim — widelce i noże, w trzecim — lampę, kołdry, kilkadziesiąt funtów bulionu, kilka kóp jaj itd. Ściany tych zakładów powinny być szklane, ażeby przechodząca koło nich publiczność widziała ich biedę i wzruszona jej widokami składała ofiary.

Poseł Prawdy.

BANK WŁOŚCIAŃSKI
w Królestwie Polskiem.

I.

W nr. 97 *Dziennika warszawskiego*, z d. 29 kwietnia (11 maja) r. b. ogłoszona jest „Instrukcya dla komisarzy do spraw włościańskich o sposobie wydawania świadectw włościanom i mieszczanom-rolnikom na otrzymywanie pożyczek z Banku włościańskiego.“

Podajemy rzeczoną instrukcyę w dosłownym przekładzie:

1) Na mocy art. I p. 2-go Najwyżej zatwierdzonej dnia 11 (23) kwietnia 1888 roku uchwały Rady państwa o rozciągnięciu działalności Banku włościańskiego na gubernie Królestwa Polskiego i wobec Najwyżej zatwierdzonej w d. 18 (30) maja 1882 roku ustawy tego Banku, świadectwa o tem, iż nie zachodzą przeszkody do wydawania przez Bank pożyczki na kupno gruntów, mogą być wydawane wyłącznie osobom ruskiego, polskiego i litewskiego pochodzenia, mającym prawo nabywania gruntów, podchodzących pod moc obowiązującą Najwyższego Ukazu z 19 lutego (2 marca) 1864 roku, to jest włościanom i mieszczanom-rolnikom.

2) Za osoby pochodzenia ruskiego uważają się wyłącznie wyznający wiarę prawosławną, jak również jednowiercy i odszczepieńcy; za osoby pochodzenia polskiego i litewskiego—wszyscy inni mieszkańcy kraju, poddani ruscy, wyznający wiarę chrześciańską i używający w życiu domowem języka polskiego lub litewskiego. Dalej za włościan i mieszczan-rolników uważani są prawni właściciele osad podchodzących pod moc obowiązującą Najwyższego Ukazu z 19 lutego (2 marca) 1864 roku, jak również osad, uległych działaniu Najwyższego Ukazu z 28 października (8 listopada) 1866 r., do których rozciągnięto ukaz z 19 lutego (2 marca) 1864 roku, nadto lud prosty, nie posiadający gruntu, osobiście zajmujący się uprawą ziemi lub pracą ręczną, będącą w ścisłym związku z rolnictwem.

3) Stosownie do przytoczonego powyżej prawa, uzyskanie świadectwa dającego prawo do otrzymania pożyczek, zawarunkowane jest nietylko należeniem do ruskiej, polskiej lub litewskiej narodowości, lecz zarazem i należeniem do kategoryi włościan i mieszczan-rolników.

4) Włościanom i mieszczanom-rolnikom pochodzenia ruskiego, świadectwa na prawo otrzymania pożyczki z Banku włościańskiego będą wydawane na kupno gruntów we wszystkich miejscowościach Królestwa Polskiego; włościanom zaś i mieszczanom-rolnikom pochodzenia polskiego i litewskiego, świadectwa te będą wydawane z nadmienieniem, że wydanie ich nie nadaje okazicielowi prawa do otrzymania pożyczki na kupno gruntu w miejscowościach, zamieszkanych przez ludność ruską, a mianowicie: a) w powiatach gub. lubelskiej: chełmskim, hrubieszowskim, tomaszowskim, biłgorajskim i zamojskim; w gminach: Kawęczyn i Chrzanów pow. janowskiego; w gminach: Turobin, Izbica, Krasnystaw, Łopiennik, Rudka i Czajki pow. krasnostawskiego, i w gminie Ludwin pow. lubartowskiego; b) w powiatach gub. siedleckiej: bialskim, włodawskim, radzyńskim i konstantynowskim, w gminach: Sterdyń, Sobno, Olszowa, Karczewo, Jabłonna, Rzepki, Kudelczyn i Wyrożemby pow. sokołowskiego, i w gminach: Mordy i Kreślin pow. siedleckiego; i c) w gminach gub. suwalskiej, powiatu augustowskiego: Łabno, Balla Wielka, Wołowiczowce, Hołynka, Kurjanka i Petropawłowsk.

Uwaga. Jeżeli znajdujący się w jednej z wymienionych miejscowości grunt jest nabywany przy pomocy pożyczki Banku włościańskiego, przez miejscowych włościan, mających prawa do służebności na tym gruncie, w takim razie, wedle ścisłej zasady art. I p. 3 lit. b prawa z 11 (23) kwietnia 1888 roku, wszystkim tym włościanom będzie wydawane świadectwo na prawo otrzymania pożyczki bez różnicy pochodzenia.

5) Do otrzymania świadectw wcale nie mają prawa: a) cudzoziemscy wychodźcy, nie należący do narodowości ruskiej, polskiej i litewskiej, bez względu na to, kiedy się tutaj osiedlili, również żydzi, chociażby jedni i drudzy posiadali już nawet na zasadzie prawnej grunta, podchodzące pod Najwyższy Ukaz z 19 lutego (2 marca) 1864 roku, jak również te z liczby osad, podchodzących pod Najwyższy Ukaz, z 28 października (8 listopada) 1866 roku, na które rozciąga się prawo z 19 lutego (2 marca) 1864 roku, i b) osoby, nie będące poddanemi ruskiemi, chociażby nawet ze względu na warunki bytu swego i rodzaju zajęć, należały do stanu włościańskiego.

6) Osoby, pragnące otrzymać pożyczkę na kupno gruntu z funduszów Banku włościańskiego, z prośbą na prawo otrzymania pożyczki zwracają się do komisarza do spraw włościańskich tego powiatu, gdzie są zapisane do ksiąg ludności stałej.

(D. n.).

O PRAWDĘ.

Od d-ra A. Zalewskiego odebraliśmy ostrą wycieczkę przeciwko błędom naukowym, popełnianym często w artykułach przyrodniczych naszej prasy, pisanych bez dostatecznej znajomości przedmiotu. Zarzuty swoje uzasadnia autor krytyką artykułu zamieszczonego w n-rze 16 naszego pisma p. t. „Epidemie sztuczne.“ Ponieważ dla nas jest *magis amica veritas*, więc usunąwszy to, co się odnosi do człowieka, przytaczamy to, co się odnosi do rzeczy:

„Naprzód opowiada p. Lande o grzybkach, których zarodniki opadają na martwe muchy, pogrążone w wodzie czyli o roztoczkach (*saprolegnia*), a opisawszy kiełkowanie i rozrośnięcie się ich w ciele owadu, przechodzi do wytwarzania się zarodników u dojrzałego już grzyba w sposób następujący: „Na wierzchołku niektórych rozgałęzień tworzą się drobniutkie owalne kuleczki w formie perełek, nanizanych obok siebie w jeden rząd podłużny itd.“ Jest to niedorzeczność. Tak wytwarzają się zarodniki w pleśnicy (*penicillium*) i u innych niższych grzybów, ale nigdy u roztoczek (*saprolegnia i achlya*). U roztoczek znane są dwa rodzaje rozmnażania: jedno płciowe, drugie bezpłciowe. P. Lande mógł mówić tylko o tem ostatniem, bo o pierwszem zapewne nawet nigdy nie słyszał. U roztoczek tworzą się zarodniki nie w formie perełek owalnych, nanizanych obok siebie na końcu stosownych nitek, lecz w woreczkach znacznej wielkości, szerszych od nitek płonnych grzyba; nie tworzą jednego rzędu w tych woreczkach, lecz są w nich najrozmaiciej uporządkowane: wytwarzają się zaś w tych ostatnich przez podzielenie się na cząstki całkowitej ich zawartości zarodniowej (protoplazmy), co gdy nastąpi, woreczek, zamykający je, otwiera się w przedniej swojej części i oswobadza zarodniki, które obdarzone rzęskami i własnym (jak u najniższych zwierząt) ruchem, wypływają na zewnątrz i poruszają się w najrozmaitszych kierunkach, dopóki albo nie spotkają jakiego nieżywego owadu, na którym ze swej strony dalej rozwijać się będą mogły, lub też nie znalazłszy go — nie umrą. U rodzaju *achlya* przejaw ogólny jest podobnym jak w saprolegnii, z tą tylko różnicą, że wytwarzanie się żywek (*zoospor*) w nieco odmienny odbywa się sposób, o czem tu jednak mówić nie będę. Opisawszy roztoczkę przechodzi p. A. Lande do owadomorki (*empusa* *). Tu przedstawia również tylko zarodniki, tworzące się drogą bezpłciową, nie wspominając wcale o rozmnażaniu się płciowem u tego rodzaju grzyba. Opiszę tu naprzód tworzenie się zarodników na drodze bezpłciowej tak, jak ono rzeczywiście ma miejsce w przyrodzie. Gdy grzyb tak silnie rozgospodaruje się w ciele owadu — np. muchy—że całe jego wnętrze stoczy, wtedy wyrasta w postaci niezliczonych, cieniutkich i dosyć krótkich nitek na jego powierzchnię (gąsienica lub mucha wydaje się wtedy jakby była aksamitną); na tych krótkich nitkach powstają w wierzchołkach zgrubienia gruszeczkowate, które po dojściu do pewnej oznaczonej wielkości, odgradzają się od nitki poprzeczną ścianką. Gdy dojrzeją zupełnie, wtedy ciecz wodnista, wypełniająca nitkę grzybową, skupia się przy jej wierzchołku i ciśnie z siłą na ściankę poprzeczną, oddzielającą od niej zarodnik. Natężenie ciśnienia wzmaga się jeszcze bardziej, błonka nitki grzyba w okolicy ścianki poprzecznej rozciąga się i słabnie, następuje w końcu chwila, w której prężność cieczy stanowczo przezwycięża opór błonki; ta pęka i zarodnik z siłą zostaje podrzucony do góry na wysokość stosunkowo bardzo znaczną. Spotkawszy na swej drodze muchę, lub inny jaki owad, zarodnik kiełkuje i prowadzi dalej dzieło zniszczenia.

Posłuchajmy jak opisuje p. Lande rozwój zarodnika w rodzaju *empusa*: „Zarażony nią owad ginie w krótkim czasie, a wtedy przez jego odwłok wydostają się na zewnątrz prosto ku górze sterczące nitki tego grzyba. Na końcu ich powstają zgrubienia koliste, noszące miano zarodni (*sporangium!*). Otóż wypełniająca je substancya protoplastyczna wkrótce się rozpada na wielką ilość drobnych zarodników, które po pęknięciu ścianki zarodni wyskakują z niej, a trafiwszy na przelatującą obok muchę, czepiają się jej ciała, dzięki wilgotnej i lepkiej powierzchni.“

Niechajże teraz czytelnik osądzi sam, czem go karmią panowie, którzy sami wprzódy powinniby nauczyć się pierwszych podstaw botaniki.“

*) Nazwy polskiej dla *empusa* p. Lande nie zna dla bardzo prostej przyczyny, ponieważ niema jej w podręczniku botaniki p. Rostafińskiego, z którego wziął wyraz „roztoczka.“

PRASA RUSKA.

Graždanin pisze z powodu wynurzeń p. Tatiszczewa w *Figarze*:

„Polityka narodowa, o której mówi p. Tatiszczew, w państwie ruskiem zgoła nie istnieje; jest tylko polityka ruska, polityka Głowy państwa i Jego rządu. Za granicą mącą pojęcia polityki narodowej i porywów słowianofilskich, a ponieważ gabinet ruski owych porywów nie podziela, przeto nadają im miano jakiejś polityki narodowej. Nie potrzeba wcale mówić, że mniemanie to mylne. Dążenia słowianofilskie są teraz jedynie polityką kilku gazet ruskich, zapewniających sobie przez to zbyt towaru gazeciarskiego. Rosya, jako naród i państwo, przeszedłszy ciężką szkołę rozczarowania i poznania prawdy w sprawach słowiańskich, odwróciła się całkiem od wszystkiego, co ma podobieństwo do złudzeń słowianofilskich. Nawet w roku 1876, w epoce wygórowania porywów słowianofilskich, które doprowadziły do wojny z Turcyą, nie było polityki narodowej. Był to szereg omyłek rządu, który dał prasie zbyteczną swobodę podniecania, a za omyłki te sam rząd poniósł zapłatę. W r. 1870 słowianofile musieli stworzyć całą legendę o rzekomych cierpieniach słowian, ażeby naelektryzować Rosyę: nie była to przecież polityka narodowa, lecz jedynie zapęd chwilowy. Polityka narodowa, jako niewątpliwy objaw siły narodu, raz tylko ujawniła się w naszych czasach, kiedy w r. 1863 Europa za przykładem Francyi ośmieliła się wtrącać do naszych spraw wewnętrznych. Naówczas Katkow przemawiał z *Moskowskich Wiedomosti* w imię ruskiego uczucia narodowego, i znajdował się na wysokości szlachetnego powołania.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Przepełnienie. Do zarządu kanalizacyi i wodociągów w ostatnich czasach zgłaszało się osobiście i piśmiennie tylu kandydatów poszukujących pracy, że główny inżenier był zmuszonym wywiesić na drzwiach biura kartę z napisem, iż podania o posady nie są już przyjmowane.

Wystawy. W Kiszyniewie odbędzie się wystawa besarabska od 15 września do 1 października r. b. Ponieważ Besarabia dostarcza zboża, win, tytoniu, owoców, wełny, przeto komitet wystawy urządzi podczas jej trwania biuro handlowe, przy którego pomocy będą się załatwiały tranzakcye bezpośrednie z wytwórcami.

— W Tyflisie wystawa konkursowa otwartą będzie w jesieni. Podania należy składać do 1 czerwca z żądaniem ilości sążni kwadratowych pod pawilon lub kiosk. Za każdy sążeń kwadratowy w pasie t. z. klombu oznaczono cenę rs. 10, po za tym pasem — rs. 2—5.

— Na wystawie pracy kobiecej, mającej się odbyć w Petersburgu, będą umieszczone, jak donoszą *Nowosti*, roboty wykonane przez uczenice szkół rzemiosł w Warszawie. Zajmuje się tem p. Korwin-Krukowska, która nadto podczas wystawy ma wypowiedzieć odczyt o wykształceniu fachowem kobiet.

— W Odesie otwartą będzie wystawa nasion w listopadzie, staraniem Tow. rolniczego Rosyi południowej.

— Wystawę pracy kobiet otwarto w Warszawie d. 19 b. m.

Przerwanie komunikacyi. Burza zeszłotygodniowa poczyniła wielkie szkody na kolei Wiedeńskiej. Woda zmyła znaczną ilość plantu i zerwała most na przestrzeni między stacyami Łazy, Strzemieszyce, Ząbkowice. Obecnie, po kilkudniowej przerwie, pociągi już chodzą bez przesiadania podróżnych przez nasyp i most tymczasowy.

Berezyna, obszerne i bogate dobra hr. Potockiego w gub. mińskiej pow. humańskim, zostały sprzedane na licytacyi.

Dla kobiet. Jak donoszą pisma codzienne, wkrótce powstanie w Warszawie specyalny wydział kształcenia kobiet na t. zw. zarządzające wielkimi magazynami konfekcyi damskiej. Oprócz kroju i szycia, uczenice będą się uczyć wszelkich praktycznych sposobów kierowania takimi zakładami.

Nowe marki. Skutkiem tego, iż z początkiem kwietnia r. b. zaczęła obowiązywać nowa taksa pocztowa na korespondencyę wysyłaną z kraju za granicę, zarząd pocztowy przygotował marki, koperty i karty korespondencyjne, specyalnie dla korespondencyi zagranicznej.

Encyklopedyi rolniczej, wydawanej przez Muzeum przem. i roln. wyszedł zeszyt IV, który zawiera artykuły: bagna, bakterye, Bałkański półwysep, banki, bazalt, bażant, bednarstwo, bekas, Belgia, belki, berberys, bezrobocie.

Szkoły. Departament rolnictwa i przemysłu wiejskiego zamierza otwierać szkoły mleczarskie przy gospodarstwach prywatnych, na wzór istniejących w Finlandyi. Właścicielom, utrzymującym w majątkach swoich szkoły mleczarskie, udzielane będą zapomogi skarbowe w stosunku do liczby osób, kształcących się na specyalnych mleczarzy.

Z Krakowa donoszą, iż prokuratorya państwa skonfiskowała cały nakład broszury p. t. „Problemat słowiański,“ napisanej przez Edwarda Bogusławskiego, autora „Historyi słowian.“ Oto skarga: „zamach na całość państwa (zbrodnia stanu) § 58, oraz zaburzenie spokoju publicznego § 802.“ Sąd odrzucił wniosek prokuratora, żądający uwięzienia autora, oraz drukarza krakowskiego, p. W. Korneckiego.

Nowa fabryka parowa farb mielonych powstaje w Warszawie.

Kongres więzienny. Towarzystwo prawnicze w Petersburgu, celem przygotowania materyałów i utworzenia przyszłego kongresu więziennego, wybrało komitet odpowiedni. Na prezydującego powołany został prof. Fojnicki, na członków pomiędzy innymi pp. Spasowicz i Karnicki.

Zapisy. Znany filantrop, bar. Hirsch, ofiarował na rzecz ubogich mieszkańców Bursztyna i Sokołówki w Galicyi wschodniej 5,000 złr.

— Zmarły w r. z. w Petersburgu adwokat przysięgły, Michał Chodorowski, zapisał 15.000 rs. na rzecz warszawskiego Tow. dobroczynności.

Sygnał. Mechanik warszawski, p. Jan Molteni, jak donosi *Kur. codz.*, sporządził nowy przyrząd elektryczny, przeznaczony głównie do zawiadamiania o przyborze wody. Oprócz zastosowania przy zbiornikach i kadziach fermentacyjnych, przyrząd ten z wielkim pożytkiem może być zaprowadzony na rzekach, alarmując nadbrzeżnych mieszkańców o każdym przyborze wody.

Żydzi. Senat w ostatnich czasach roztrząsa wiele spraw, wynikających ze skarg żydów na wydalanie ich z miast i miasteczek, znajdujących się w 50-wiorstowym pasie granicznym.

Sądy. Projekt włączenia nowych sądów w gub. nadbaltyckich do okręgów sądowych petersburskiego i wileńskiego, uznany został za nieodpowiedni, skutkiem czego podniesiono drugi projekt utworzenia oddzielnego okręgu sądowego i izby sądowej dla powyższych gubernij. Siedliskiem izby sądowej będzie Ryga.

Ustawa hypoteczna dla Cesarstwa ułożona została głównie podług wzoru pruskiej i zbliża się do obo-

wiązującej w Królestwie Polskiem. Wykaz hypoteczny obejmuje cztery działy. Zaprowadzone zostaje pierwszeństwo hypoteczne z tą tylko różnicą, że liczyć się będzie nie podług daty zapisu, ale złożonej deklaracyi. Księga wieczysta obejmować będzie sam tylko wykaz, akta spisywane będą osobno, do czego pisarz hypoteczny upoważnionym zostaje na równi z notaryuszami. Zaprowadzenie ksiąg gruntowych pozostawia się dowolności właścicieli.

Jedwabnictwo. W celu podniesienia jedwabnictwa, polecono leśnictwom rządowym w gub. kijowskiej wydawać bezpłatnie sadzonki białej morwy. Zaprojektowano także założenie w gub. kijowskiej specyalnej szkoły jedwabnictwa.

Katastrofa. W Pensylwanii, w kopalni węgla Kaska, oberwał się elewator z 10 ciu robotnikami i runął w głębię 500 metrów. Wszyscy górnicy ponieśli śmierć na miejscu.

Katedrę muzyki postanowił utworzyć uniwersytet w Melbourne.

Wydział gospodarstwa wiejskiego ma powstać w Akademii Jagiellońskiej od 1 października r. b.

Zmarli. Dr. Felicyan Suligowski w Radomiu. Pracowity i zacny lekarz, współpracownik *Gazety radomskiej.*

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz S. System socyologii—rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi. str. 93 — k. 60.

Okolski A. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej**: Warszawa, Złota 23.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Мая 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.